◆ Kazimierz Brandys ◆ Tadeusz Kubiak ◆ Pablo Neruda ◆ Stanisław Wygodzki ◆

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI | Warszawa, dnia 25 września 1949 r. | Nr 39 (252)

LOUIS ARAGON

ROK 1939

rys. Charlie — **Louis Aragon**

Redaktor naczelny dziennika „Ce Soir" — poeta Louis Aragon został pozbawiony praw obywatelskich w związku ze swą działalnością publicystyczną.
Zamieszczamy fragment nowej powieści współczesnej Louis Aragona pt. „Komuniści", która niebawem ukaże się nakładem „Czytelnika".

— Nie odważą się...
— Odważą się.
— Nie odważą się.
— Odważą się.
— Mówię wam, że się nie odważą...

Bender przymknął starannie drzwi. Była to ładna choć biedna i źle oświetlona kawiarenka przy ulicy Anatola France'a. Szynkwas o blacie z fałszywego marmuru, stoliki z malowanego metalu, ławeczki nie obite nawet moleskinem, z lekka podziurawione, parę flaszek na etażerkach o brzegach ząbkowanych. Murzyn ze skórzaną łatą na spodniach z bezbarwnego płótna pochylony nad filiżanką kawy dmuchał w palce i mówił coś do bladej kasjerki wybuchając raz po raz chichotem... Tymczasem Blanchard i Toto zajęli miejsca za stolikiem, zgarniając z niego kobierzec kart zielony jak łąka, na której rosną czarne kwiaty. W głębi sali bezkrwista dziewczyna grała w „jaquet" z drobnym staruszkiem. Radio nadawało „Marquitę"..

— Mówię wam, że się nie odważą ruszyć związku zawodowego... — powtórzył Toto z uporem. Bender właśnie się rozsiadał. Blanchard rzekł:

— A niby dlaczego, ty pusty łbie, nie mieliby ruszyć związku zawodowego? Że to związek zawodowy? Ależ właśnie dlatego, że to związek zawodowy...

— Właśnie dlatego go ruszą? Nie, nie myślę. To wy opowiadacie takie historie, wy, komuniści. Zawsze chcecie najgorszego. Widzicie wszystko w czarnych kolorach. Nie chcę przez to powiedzieć... Ale wy widzicie wszystko w czarnych kolorach.

— Śmieszysz mnie: to my widzimy wszystko w czarnych kolorach? Czyż jest inaczej? Masz zaufanie do Daladiera,do Bonneta, do kogo jeszcze? Może przypadkiem do Reynaud?

Toto ruszył ramionami. Człowiek do wszystkiego, właściciel, bufetowy i kelner w jednej osobie przyjmował zamówienia. — Mały kieliszek wina, — rzekł Blanchard. — Mały kieliszek wina, — rzekł Toto. A Bender z taką miną, jak gdyby nagle zdobył się na odwagę, powiedział: — Dla mnie poproszę diabolo... — Po czym uśmiechnął się, schował głowę w ramiona, a Toto rozpoczął znowu: — Nie odważą się, u diabła, nie odważą się. Dlaczegóż by mieli się odważyć? Aby sprowadzić sobie na kark robotników? Nie można prowadzić wojny, jeżeli się ma robotników na karku...

— Chyba — skorygował Blanchard — że się prowadzi wojnę z robotnikami...

Głos Saint-Graniera w radio ucichł, a reporter sportowy zaczął wygłaszać sprawozdanie z ćwiczeń kolarskich, które się odbywały tam, gdzie pieprz rośnie. Śmiech Murzyna zapełnił chwilę ciszy. Wydawało się, że Toto kontynuuje swoje myśli, że odpowiada na wyczyny sprintera i że ma pretensje do kasjerki.

— Chcieliście tej wojny, nie możesz temu zaprzeczyć, chcieliście jej...

— Nie chcieliśmy wojny, chcieliśmy bezpieczeństwa...

— Tak czy owak, chcieliście tego... Nazwij to sobie wojną czy bezpieczeństwem... Chcieliście wojny przeciw Hitlerowi do spółki z Rosjanami. Zwracam ci uwagę, że w ogóle jestem przeciw wojnie. Ale rozumiem was: wojna wojnie nierówna. Tyś był w Hiszpanii. Nie mam ci tego za złe: to była wojna ludowa... Ale czy ta wojna jest ludowa? A tak czy owak, nim Rosjanie zmienili front, wy...

— Nie wiesz, co gadasz — rzekł Bender spokojnym głosikiem, który sprawił, że tamci dwaj spojrzeli na niego. Zarumienił się. — Kto ci powiedział, że Rosjanie zmienili front, ano, gadaj... kto? Gazety. Czyje gazety? Ich gazety, no nie? Nie twoje. Od kiedy to masz zwyczaj powtarzać to, co wyczytasz w „Matinie"?

— Nie tylko „Matin"...

— No więc? Nie wystarczy ci, ażeby wyrobić sobie zdanie o tych gazetach, to, że piszą to samo co „Matin", hm? Nie masz pretensji do Blancharda, że brał udział w wojnie hiszpańskiej, ale wierzysz tym, co wygadywali brednie o czerwonych, o paleniu kościołów, o gwałceniu zakonnic i o tym morowym chłopie, Franco...

— Daj spokój! — ryknął Toto i wychylił haustem kieliszek białego wina, zaledwie ten znalazł się na stole. Potem spojrzał przed siebie na wielkie ścienne lustra, tuż ponad szynkwasem, udekorowane malowanymi kwiatami i liśćmi, które miały ukryć ich pęknięcia. W tej knajpie wszystko było imitacją, nawet lustra.

— A jednak — zaczął znowu — jeśli wam wierzyć... to znaczyłoby, że jutro wywalą tych przedstawicieli związkowych, których pysk im się nie spodoba... że nie uszanują demokracji związkowej... Tak-eście nam opowiadali na zebraniu, prawda? A ja wam powiadam, że to puste gadanie... ja wam to mówię, ja...

— Wiesz, co oni sobie myślą o demokracji związkowej, czy nie? No więc... — rzekł Bender.

— A jednak Rosjanie... — rzekł Toto... — Wytłumacz mi tę sprawę z Rosjanami...

— Jeżeli chcesz... — rzekł Blanchard. Trzeba się było cofnąć w przeszłość. Do 1936. Hiszpania. Nieinterwencja. Ten kawał z nieinterwencją powtórzono przy Austrii, przy Czechosłowacji. Zostawała jeszcze Francja... — Dlaczego, idioto, dlaczego? Bo trzeba by było bić się razem z Rosją... A dobrze wiesz, że wojna, jakiej oni chcą, to wojna przeciw Rosjanom...

— Jak to? Przecież podpisali pakt z Rosją...

— Tak. Laval. Dla pięknych oczu Rosjan? Co za pomysł! Tylko dlatego, że chciał zrobić kawał robotnikom francuskim, żeby móc im powiedzieć: „Wasz Stalin idzie ze mną, i co wy na to?". Ale robotnicy zrozumieli to inaczej. Wtedy odrzucono pakt. Zrobił to Blum. To są ich sztosy... Laval udaje takiego, co trzyma sztamę z Rosjanami, a później jakiś socjalista stara się o to, ażeby nic z tego nie wyszło: nic nie poradzisz, to socjalista...

— Dobra, a ich pakt z Hitlerem to pies?

Póki mówiono ogólnikami, jeszcze jakoś szło, ale skoro tylko poruszono sprawę paktu, ludzie — a wśród nich, ma się rozumieć, i Toto — tracili równowagę, nie chcieli dalej słuchać, ogłuszeni przez hałas, podniesiony dookoła tej sprawy przez całą tę propagandę, przez prasę... Blanchard musiał trzymać fason, ale najchętniej byłby powiedział „psiakrew"... Przychodziło mu jednak na myśl, że to przecież swój człowiek, ten Toto, który siedzi tutaj, przy kieliszku białego wina, a nie jakiś Chamberlain czy Bonnet. Wobec tego trzymał fason.

— Przypomnij sobie, bałwanie, jak to się odbyło...

Rozpoczął historię pertraktacji z Moskwą. Toto niecierpliwił się: — Ale pakt!

— Idioto, jakże możesz się pokapować, jeżeli nie przypominasz sobie...

(Dokończenie na stronie drugiej)

WŁODZIMIERZ DOMERĄDZKI

WIERSZE ROBOTNICZE

Poniżej drukujemy wiersze warszawskiego murarza

Jak na barykadzie

Wysoko jak marynarz
w bocianim gnieździe
na maszcie
stoi murarz
przy ścianie
i muruje.
Popatrzcie!

Wysoki jest dom,
wysokie rusztowanie,
wysoki cel człowieka
by mury wznieść do słońca,
nie patrzeć na nie
z daleka.

On w dom naszego szczęścia
serce swoje kładzie.
Walczy kielnią
jak żołnierz
na barykadzie.

My

Jak pługiem światłami
mrok orze
o wieczornej porze
rozświetlona cała
zmartwychpowstała
Stolica.

W ulicach
tłum ludzki jak rzeka.
Szumi z daleka,
gwarzy.

Stolico,
czy cię książęta z ran
leczą?
NIE.
Tłum robociarzy.

Serce sercu

Ręce jak cepy
młócą dzień.
Godziny pryskają
jak ziarno.
Gospodarz — czas
omłot
w płachtę zgarnął.

Rosną domy
wysokie
o setkach
widnych okien.
Nikną ruiny,
gruz jak śnieg
znika.

Dwa serca
biją razem.
Serce Polski,
serce
robotnika

RYSUNKI ADAMA MARCZYŃSKIEGO

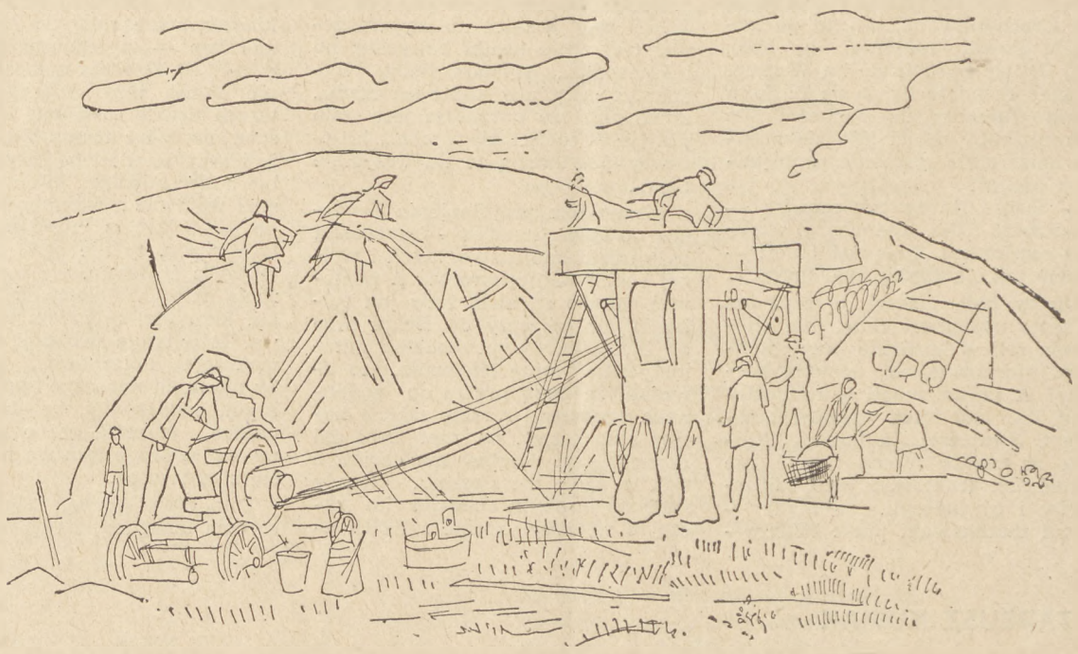

Młockarnia

Na targowisku w Zakliczynie

Stogi

ROK 1939

(Dokończenie ze strony pierwszej)

Zmusił go, żeby sobie przypomniał. Ci sami ludzie co rok temu woleli ustąpić Hitlerowi, aniżeli zrobić w Monachium na konferencji europejskiej miejsce dla ZSRR, ci sami, co bankietowali z Ribbentropem w Paryżu, co darowali Pragę, a później zaczęli głośno mówić o sojuszu z ZSRR, na skutek czego Hitler podniósł wrzask o okrążeniu... ci sami... ale pertraktacje w ciągu długich miesięcy nie posunęły się naprzód ani o krok — tak, jak gdyby rozpoczęto je tylko po to, aby mieć żeton wymienny, coś, co by można ofiarować Niemcom... jak gdyby chciano tylko zmusić Rosję do zaangażowania się, nie angażując się samemu... Wiedzieli doskonale, że dalsze roszczenia hitlerowców rozciągają się na Wschód, na Polskę i przypuśćmy na chwilę, że powiedzianoby sobie: Polska — to trudno, nie da się nic zrobić... powiedziano już to sobie przecież i o Hiszpanii, i o Austrii, i o Czechosłowacji... — to po pożarciu Polski najlepiej by było, żeby Hitler zwrócił się na Wschód, no nie? Pchnięto by go na Rosję, a wtedy Chamberlain, Bonnet i Ska powiedzieliby sobie: „To się nazywa upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu".

— Dobra, to ty tak mówisz — powiedział Toto. Blanchard wzruszył ramionami, i ciągnął dalej: — Mówię tak... a gdyby było inaczej...

Gdyby było inaczej, to czyż nie należało umożliwić Sowietom odegrania roli w kordonie bezpieczeństwa, uformowanym dookoła Niemiec? A jakżeż mogli tę rolę odegrać, jeśli nie mieli wspólnej granicy z Niemcami, a Polacy, którym na pomoc miano ruszyć, nie chcieli ich traktować jako sojuszników i oświadczyli, że nigdy — nawet zaatakowani przez Hitlera— nie pozwolą im wejść na swoje terytorium? Toto protestował.

— Ach, tak? — rzekł Blanchard. — Pamiętasz to, co stoi w gazetach, jeżeli ci to odpowiada a jak nie, to zapominasz? Dziesięć dni temu gazety pisały... mam na myśli notę Havasa... A więc, gdyby ZSRR przyłączył się do koalicji wojennej bez środków wojskowych i traktowany przez Polaków nie na prawach sprzymierzeńca, to wynikłoby stąd, że hitlerowcy mogliby zaatakować ZSRR na jego granicach, ale ZSRR ze swojej strony miałby ręce skrępowane przez Polskę, no, nie? Wreszcie Mołotow...

Mój przyjaciel Blanchard cytował zawsze mowę Mołotowa, wygłoszoną w marcu; dał ją przedtem do przeczytania Cezarowi Dansette. Mołotow mówił w niej, że kto nie ma wspólnej granicy z jakimś krajem, a chce go zaatakować, to zawsze może sobie ją wypożyczyć od kraju sąsiadującego, który taką granicę posiada. A tuż pod bokiem ZSRR były granice do wypożyczenia: trzy małe kraiki bałtyckie, no i Finlandia... wystarczyłoby wyznaczyć cenę, aby kupić ich rządy.. zwłaszcza, że burżuazja jest tam prawie w całości niemiecka... hitlerowcy powtarzają to na wszystkie tony...

Warunkiem przystąpienia Sowietów do koalicji anglo - francuskiej było udzielenie im gwarancji i wolnej ręki z tamtej strony... A ponieważ żądano od nich, żeby jak tylko Hitler wkroczy do Belgii albo do Holandii, wypowiedzieli automatycznie wojnę Niemcom, to uważali, że mają prawo do podobnych wymagań w razie zajęcia Łotwy albo Litwy, no, nie? Otóż ani Francuzi ani Anglicy nie chcieli o tym w ogóle nic słyszeć... Wtedy stało się jasne, że chodziło im raczej o to, żeby zrobić z ZSRR obiekt nęcący dla Hitlera, aniżeli, żeby wpakować Hitlera w kabałę... Komedia trwała, nie posuwano się ani o krok naprzód... W Moskwie delegaci bez upełnomocnień mydlili oczy... Czyż w takich warunkach Sowieci nie mieli prawa zabezpieczyć swoich granic, zawierając pakt o nieagresji z groźnym sąsiadem? Przecie tamci chcieli ich i tak rzucić na pastwę, byleby odwrócić Hitlera od roszczeń na Zachodzie! Z chwilą, kiedy nie chcieli umożliwić obrony tym, o których przyjaźń niby to się starali...

— Nie widzisz, zakuta pało? Chcieli znowu zrobić im kawał z nieinterwencją, ten sam co z Polską, oczywiście ta nieinterwencja byłaby troszeczkę wyreżyserowana, ale w końcu... Wtedy Stalin powiada: Dość! Skończyło się z nieinterwencją, ten numer nie przejdzie, skończyło się raz na zawsze, kapujesz? Liczyli się ze wszystkim, ale nie z czymś podobnym, kapujesz? No i podnoszą wrzask. Przykładają sobie rękę do serca. Monachium — to ich monopol, rozumiesz? Zawsze tak samo. Ale teraz nie można już więcej cyganić, trzeba będzie rozmówić się między sobą, no, więc trzęsą się, wściekają i krzyczą w niebogłosy, żeby sobie dodać odwagi... Może będą musieli wojować z faszyzmem... Może.. bo jeżeli chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę, to nie będą prowadzić wojny z Hitlerem, ale z nami. Zarobią na tej wojnie to, że będą mogli, kapujesz, zabrać ci twoje prawa, Toto, twoje swobody, twoją demokrację związkową... Bo czemu by nie mieli naruszyć twojej demokracji związkowej, ty biedny nędzarzu, przecież oni o tym tylko marzą, gadają o tym we śnie, budzą się z tą myślą...

Toto kiwał głową. Siedział tu z dwoma kolegami, z tego samego obozu, którzy gadali, gadali. Jego nieufność trzymała tamtych dwóch w szachu. Nie, żeby był przeciw nim. Zwłaszcza od czasu wojny hiszpańskiej. Trzeba powiedzieć prawdę. Ci ludzie przewidzieli wszystko trafnie. Można było różnić się z nimi co do metody, ale oni dali za to głowę. Blanchard wrócił stamtąd. Raniony. Opowiadał dobrze o bitwie pod Guadalajarą. Podczas wojny hiszpańskiej wszystko było jasne. Tym razem jednak Daladier i Ska wzywali do wojny przeciw Hitlerowi, a komuniści stanęli okoniem... Nie, żeby Toto miał ochotę do wojaczki. Nagle rzekł coś pozornie bez związku:

— Co do mnie, to uznaję tylko jedną rzecz... Wierzę tylko w jedną rzecz.. W żelazną sztabę...

Zacisnął kułaki nad stołem, pokazał swoje zaciśnięte pięści i można prawie było dojrzeć w jego rękach żelazną sztabę...

— Niech przyjdą... Mamy w ręku żelazną sztabę, a jak nadejdą, to kropniemy ich po głowie...

Rozległ się smutny śmieszek Bendera. Spojrzał na barczyste ramiona, na długie i potężne ręce Toto i zarechotał smutno. Toto, ten dureń, ufa swojej zwierzęcej sile. Bender nie rzekł ani słowa, ale śmiał się, jakby szedł za własnym pogrzebem.

— Czego ryczysz? — spytał Toto. Odpowiedział mu Blanchard:

— Twoja żelazna sztaba... twoja siła... ty biedny anarchisto!... nie ma żadnego znaczenia, jeżeli jest to tylko twoja sztaba i twoja siła... Ale jeżeli kieruje nią nie twoja głowa, ale twoja klasa, jeśli kieruje nią masa, jeżeli twoja sztaba jest sztabą twojej klasy!

Toto mruknął. Zawsze ta sama śpiewka.

— Widzieliśmy już tę twoją klasę, 30 listopada podczas generalnego strajku... A jak chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę, — to od tego czasu zaczęło się to całe paskudztwo, to całe gówno... Co można zrobić dzisiaj przeciw wojnie — po takiej klęsce? Od 30 listopada wszystko się rozlazło, kapujesz, nikt już nie wierzy, żeby można coś było zrobić, dostaniemy jeszcze raz w skórę jak 30 listopada. Mówię ci, że wszystko przez tę cholerę, ten 30 listopada; wtedy się wszystko zaczęło...

— Prawda — powiedział Bender. — To był wielki cios dla nas.

— Nie — powiedział Blanchard. — Nie — powtórzył Blanchard po prostu po raz drugi, a tamci dwaj spojrzeli tym razem na Blancharda. — Nie... 30 listopada nie jest początkiem wszystkiego. 30 listopada to wynik błędów, które zostały popełnione przedtem. Jeżeli mieliśmy ten 30 listopada — taki 30 listopada jak ten — to dlatego, że przedtem nie zrobiliśmy wszystkiego, co trzeba było zrobić...

— A cóżeśmy takiego nie zrobili, jak trzeba było? — spytał Toto. Blanchard westchnął. Nie był tego pewien. Miał w tej sprawie jakieś niewyraźne uczucie, ale nigdy jeszcze tego nie powiedział. Poza tym, był w tym czasie na froncie hiszpańskim... Wtedy miał to niewyraźne uczucie co do pewnej rzeczy, którą chwilami — rzekłbyś — dostrzegał. Trzeba było...

— Widzisz — powiedział — Toto, ty pusta głowo, mam taką własną myśl... To nie KC tak mówi... Ale trudno mi tego nie pomyśleć... W 36 byliśmy silniejsi, burżuazja była w odwrocie... Partia powiedziała: „Nie wszystko można od razu". Partia miała rację. Nie wszystko można było od razu. Ale można było obronić to co się zdobyło i nie liczyć na innych, żeby za nas tego upilnowali. Nagle zaufano konferencjom na górze. Nie jestem przeciw wodzom, nie śmiej się, ty warchole! Są tacy, co są naszymi wodzami, co kierują naszą sprawą... ale myśmy ich nie podtrzymali dostatecznie od dołu przeciw tym, którzy zdradzili w 14, przeciw tym, którzy zawsze załatwiali interesiki burżuazji... Co się nam stało? Byliśmy oszołomieni powodzeniem! Powodzenie, ty pusta głowo, oszałamia... Nie zachowaliśmy jedności tak jak robiliśmy to w naszych fabrykach podczas strajków okupacyjnych, nie stworzyliśmy komitetów Frontu Ludowego i dlatego Frontu Ludowego już nie ma. A potem przyszedł 30 listopada i widziałeś przed chwilą tych wszystkich chłopaków w szatni, widziałeś zebranie, z którego wychodzimy? Kapujesz czy nie kapujesz? I wiesz — nawet teraz, nawet teraz, kiedy wydaje się, że jest już za późno. No więc! nigdy nie jest za późno, żeby coś naprawić... nigdy nie jest...

Toto uderzył pięścią w stół i diabolo Bendera, którego ten nie dopił, przelało się.

— Nie — powiedział — jesteście komiczni. Jest za późno. Nie można już nic zrobić. Nikt was nie rozumie. Wasi Rosjanie mają może w swoich sprawach rację. Ale jakże chcesz, żeby robociarz francuski to zrozumiał? Nie można nic zrobić. Jest za późno.

Wstał. Nałożył kaszkiet i rzucił na stół forsę za spożycie, której wysokość była zapisana na podstawkach. Blanchard patrzył na niego, jak wychodził. Bender spojrzał na Blancharda, strapiony. Blanchard nie spojrzał na Bendera.

— Sądzisz — rzekł Bender, przestraszony — ty też sądzisz, Raulu, że jest za późno? — Blanchard milczał... Przypomniał sobie, jak wyglądał Antonio owego dnia po klęsce w Hiszpanii, przypomniał sobie obóz koncentracyjny i przypomniał sobie, jak odnalazł w domu Antonia ze skrwawionymi nogami, tego Antonia, który przyjechał do Paryża, aby nawiązać kontakty z partią i z Hiszpanią... Za późno? Z oczyma utkwionymi przed siebie, mówił:

— Nigdy nie jest za późno, aby coś naprawić.

Eliana Cellys śpiewała w aparacie, którego magiczne oko podobne było do zielonej koniczyny.

— Jak ona może wyglądać, ta dziwka? — myślał Bender. A Murzyn za szynkwasem śmiał się łagodnie, przystaniając usta palcami, bladymi jak świt nad fabryką...

Raul wziął rower i myślał:

— Ale jakżeż chcę, żeby robociarz francuski to zrozumiał? Nie, taki Toto nie wybije mi z głowy, że francuski robociarz dobrze to rozumie... Oni nie wiedzą, co to znaczy francuski robociarz... ale ja wiem; jeszcze zobaczą, co to znaczy francuski robociarz...

Luis Aragon

przełożył Artur Sandauer

„LITERATURA RADZIECKA"

Ukazały się dwa numery „Literatury Radzieckiej"! Wydanie w języku polskim miesięcznika o kilkunastoletnich, bogatych tradycjach posiada dziś szczególną wymowę! Redakcja „Odrodzenia" wita tak ważne dla polskiego czytelnika czasopismo, które będzie nas bezpośrednio informować o życiu kulturalnym Związku Radzieckiego. Szczegółowe omówienie zawartości miesięcznika odkładamy do najbliższych numerów.

REDAKCJA

TADEUSZ KUBIAK

BIWAK POD ŚWIĘTYM JERZYM

Kolegom, nie przywódcom — poświęcam

I

Siebie oskarżam! Ich oskarżam
bo opętani Polską — grzesząc
nieraz na oczach mieli bielmo.
Lecz przypasani do oręża
żyć potrafili — gardząc śmiercią.
Bo opętani Polską — ślepym
mieczem się zdali w dniach rozprawy.
Rękę oskarżam. Ręką gardzę.
I rękę w płomień kładę czysty.

Siebie oskarżam — bom się wahał,
łatwo zaufał. Słuchem gardzę,
i wzrokiem gardzę. Głuchy, ślepy —
lecz serce zawsze miałem czyste.

Na własnej skórze zapisałem
noce chrapliwe od potyczek.
W młodości mojej nie ukradłem
ani jednego dnia — z dni walki.

Choć częstom walczył bez nadziei.

II

W tej wsi nie było innych kwater.
Smukły ostrołuk nadwiślański
kołysał sen chłopięcych głów,
które zwyczajem młodych źrebiąt
w grzywach na oczy spadających
niosły igliwie — lasu woń,
niewyczesany nigdy wiatr
i słomy źdźbła — wspomnienie stodół
otwartych w księżyc, gdzie dziewczyny
krzykiem gołębic w mrok wrastały.

Lecz niczym więcej dla mnie nie był
smukły ostrołuk nadwiślański,
jak tylko miejscem dla mej głowy
i dla rzemienia mojej torby
rzuconej z chrzęstem kul pod plecy.

Jakże to wiele jest dla ludzi,
którzy stracili już nadzieję,
wiarę i miłość.

Oprawne w ołów twarze świętych
o bizantyjskich smutnych oczach,
jak oczy ptaków, albo zwierząt —
powiędły w ogniu, bowiem wyżej
niż łuk witraża — płomień rósł.
Stąd w pokurczonych rudych skrętach
żelaza — niebo późnej nocy.

Lecz partyzantów dwóch — Tropiciel
i Zerwikaptur pod amboną
skuleni w mroku na organkach
dobudowali strop z muzyki.
A że o gwiazdach była pieśń —
i o księżycu była pieśń —
smutna piosenka partyzancka,
nikt się nie dziwił, ża nad głową
gwiazdy i księżyc stały w niebie.

Ale znad czoła zgarniasz myśl,
zapomnieć chcąc o niebie nocy
i o tym kraju, który gorzki.
Bo głód silniejszy jest niż sen
i niż melodia pośród nocy.

Wiara, nadzieja, miłość zgasły.
Wysoki ogień w kruchcie więc
wyrósł z posadzki i gałęzi.

Nie wiem czy tak ogarnia płomień
kobiecych ciał zziębnięte piersi
i pochylonych czół kamienność.

W tym kraju jeszcze tylko dziecko
lub kwiat potrafi tak beztrosko
z ziemi wyrastać w zimny strop
spalonych świątyń — o tym wiem.

Lecz naszym oczom pustym i
nieczułym, jak powierzchnia jezior —
płomień się skąpy wydał, kruchy
zamknięty ścianą z czterech stron
i nazbyt smutny jak na biwak.
Ale spłynęło z cegieł krwią,
czerwoną łuną z ścian gotyckich,
po to by z mroku się wyłonił
z prawicą świtem oderwaną,
z lewicą sztywno wyciągniętą
od czasów Rzymu antycznego.

Tej nocy żywych obcowanie
miłości pełne i nadziei
przeszło wśród martwej blachy pepesz —
zasypiającym nad manierką
z ostatnim łykiem wody cierpkiej
w ustach spieczonych — jakby obce.

Wiedzieli — z ciemnych pól nie wskrzesi
nikt pogrzebanych, żaden ptak
jęku ginących nie powtórzy.

Wiara, nadzieja, miłość, śmierć...
posadzka twardsza niźli korzeń
debu — darzyła snem bolesnym,
twardym.

W tych latach dobry to był sen,
gdy karabiny w czujnych dłoniach
pieszczone — wioseł brały kształt.
Odpływał strop spalony — bliski
jednako ludziom jak i ptakom,
w tym kraju smutnych, cierpkich wiosen
płonących domów i niewinnej
śmierci niemowląt.

III

Siebie oskarżam. Ich oskarżam.
Wróg łatwych wzruszeń — oto ja.
Stąd we wspomnieniach biwakowych
nie ma ni kropli sentymentu.

IV

Roztropni, którzy wierząc — nie mówili —
i uwierzyli.
Bo rany moje żyjąc
wyżarłyby mi powieki,
rękom strawiły siłę,
nogom odjęły ruch.

Roztropni, którzy wierząc — nie mówili —
jak w latach inkwizycji,
że bóg ich jest z ognia,
ale z prawdy i wiedzy
silniejszej niż miłość.

PABLO NERUDA W POLSCE

W lipcu br. gościł w Polsce znakomity poeta Ameryki Łacińskiej, chilijski patriota i rewolucjonista Pablo Neruda, zwiedzając w czasie pobytu szereg miejscowości. Na zdjęciu na lewo Pablo Neruda z żoną i Sauchez Arcasem, architektem hiszpańskim, ministrem pełnomocnym Rządu Republiki hiszpańskiej w Polsce, nad polskim morzem. U dołu: w drodze do bunkrów Goeringa w lasach mazurskich Pablo Neruda, Sauchez Arcas i Jerzy Borejsza.

KAZIMIERZ BRANDYS

OPOWIADANIE PANKRATA

Po rozmowie z Hołyszką pojechałem do Pałacu Chaillot. Z balkonu zatłoczonego ludźmi zobaczyłem salę obrad. Na trybunie stał jakiś łysawy człowieczek o wyglądzie pastora. Niewyraźne słowa, które odczytywał z kartki, wypływały dudniąc skądciś spod sufitu, przełożone na francuski. W wysokiej, ogromnej sali panował gwar, w przejściach między stołami spacerowały grupki ciemno ubranych mężczyzn, nie zwracając uwagi na mówcę. Z początku nie mogłem zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Odszukałem oczami Cebrowskiego. Siedział w głębi sali przy stole z napisem „Pologne", górując nad resztą delegacji swoją dużą wypukłą głową, opartą teraz na pięści i przechyloną; wyglądało na to, ze drzemie. Kiedy znów spojrzałem na trybunę, stał tam już inny człowiek. W wielkiej przestrzeni sali wydawał się podobny do laika; przemawiał, kołysząc ręką jak kapelmistrz, ale i jego nikt nie słuchał. Na podium prezydialnym trwał nieustanny ruch. Pod wielometrową plastyczną mapą świata, udrapowaną flagami, siedziało na fotelach kilku nieruchomych ludzi w czarnych garniturach. Za ich plecami wciąż kręcili się inni, woiegając i zbiegając ze schodów. Co pewien czas sale przecinały smugi reflektorów i odzywał się terkoczący pomruk aparatów filmowych. Kiedy reflektor oświetlał prezydium, stawało się nieco ciszej, a na nosach przewodniczących błyszczały przez chwilę binokle.

Obok mnie siedziała grupa studentów. Zachowywali się niezbyt uroczyście: rozmawiali głośno między sobą, śmiejąc się i paląc papierosy. Na ramieniu mojego sąsiada oparła głowę chuda dziewczyna o rudych rozpuszczonych włosach. Zapytałem ich, czy odczytano już Deklarację Uczonych Słowiańskich. — Nie — odpowiedział student — właśnie na to się czeka. — I odsłonił w uśmiechu drobne, ciasne zęby. A ona, nie podnosząc głowy, dodała z niecierpliwym znudzeniem, że najwyższy czas na tę „declaration slave". Przez chwilę czułem, że taksują mnie wzrokiem. Mieli podobne oczy: szeroko rozstawione i trochę niespokojne. — Czy Deklaracja przejdzie? — spytałem. Spojrzeli na siebie, po czym on znów się uśmiechnął, wzruszając ramionami: — Nie musi przejść. Wystarczy, że ją usłyszą. — Tak — potwierdziła dziewczyna — niech usłyszą prawdę, zanim stąd odjadą. — I potrząsnęła długimi lokami. Powiedziałem im, że jestem tego samego zdania.

Mówcy na trybunie zmieniali się dość często. Zauważyłem, że ilekroć przewodniczący miał wywołać kolejne nazwisko, gwar milkł i głowy obecnych zwracały się w stronę stołu z napisem „Pologne". Nazwisko padało w zupełnej niemal ciszy. Cebrowski siedział jednak nieporuszony. Zza jego ramienia wychylało się kręglutkie ciemię Testynowicza. Dalej — szczotkowata czaszka Rychwała i inni, o których niewiele wiedziałem. Amerykanie siedzieli długim podwójnym rzędem blisko podium. Widziałem srebrzystą czuprynę Lutrechta, pochylonego nad papierami. Krzątał się przy nim młody mężczyzna, muskularny, o różowej twarzy, bardzo jasny, prawie albinos. Domyśliłem się, że jest to asystent Lutrechta, o którym wspominał Cebrowski.

Za moimi plecami kilku mężczyzn, prawdopodobnie dziennikarzy, prowadziło rozmowę o ubiegłym dniu obrad. Dowiedziałem się z niej, że tego dnia reakcyjne prezydium Kongresu ogłosiło projekt rezolucji. Głosowanie nad projektem odbyło się późnym wieczorem, w sali, pełnej milczącego tłumu. Rezolucja została uchwalona, ale delegacje słowiańskie oraz część francuskiej i włoskiej — wstrzymały się od głosu. Dziennikarze nie mogli tego zrozumieć. Atmosfera była napięta, oczekiwano teraz deklaracji wyjaśniającej „ten zagadkowy krok". W sali gęstniało powietrze. Deklarację miał odczytać Cebrowski.

Ogólne podniecenie zaczęło udzielać się i mnie. Przykuła mnie do tej sali jakaś potężna siła: nie mógłbym teraz wstać i wyjść. Nasi ludzie umieją rąbać prawdę do ostatniego tchu. Wysłuchiwały jej sądy i żandarmi, spowiednicy więzienni i plutony egzekucyjne; wszyscy świadkowie i sprawcy ich śmierci. No, tam, na Kongresie, nie było z nami jeszcze tak źle. A przecież nikomu nie przeszłoby przez głowę, żeby machnąć ręką i pójść na bulwary. Zdawało mi się, że za chwilę będę tam potrzebny — komu, do czego, trudno by określić. Może tej parze, która siedziała obok mnie, może Cebrowskiemu, może innym, o których nie wiedziałem... A może czekaliśmy po prostu tak jak się czeka na odmianę pogody: żeby wreszcie zabłysło jakieś światło, albo żeby na wyschniętą ziemię spadł deszcz. Nie wiem zresztą, czy to jest trafne porównanie.

Zdaje się, że na trybunie mówców stała wtedy jakaś kobieta, siwa i ostrzyżona po męsku. Megafony powtarzały jej słowa o „ponadpolitycznej naturze nauki", czy inne w tym rodzaju. Student, siedzący koło dziewczyny, nachylił się do mnie i powiedział: — Wczorajsza rezolucja to środek na wymioty. Nie mogliśmy na nią głosować. — Zmarszczył nisko zarośnięte czoło i warknął, że takie środki są dobre dla ludzi przejedzonych. Dziewczyna roześmiała się na to i wskazała wzrokiem mówczynię: — wyobraża sobie, że jest sprawiedliwa, bo cierpi na kurzą ślepotę! Kury są także ponadpolityczne, ne croyez-vous pas?—Spytała mnie, czy jestem cudzoziemcem, a kiedy wymieniłem nazwę swojego kraju, skinęła poważnie głową, jak gdyby poczytując mi za dowód rozsądku, że urodziłem się Polakiem. Spodobała mi się ta para. Rozmawialiśmy dłuższą chwilę. Powiedzieli, że Lutrecht był nieobecny w czasie głosowania na rezolucję i nie wiadomo, czy należało to uznać tylko za przypadek. Tak przynajmniej sądziła ona. Jej towarzysz wydawał się bardziej sceptyczny.

Podczas gdy wymienialiśmy podobne uwagi, o kilka krzeseł na lewo ktoś zaczął wykrzykiwać moje nazwisko. Czarny przesadzisty facet przedzierał się w moją stronę, wołając: — Pankrat, vieux diable! Tu ne me reconnais pas? — Dokoła powstało zamieszanie, parę osób syknęło.

— Poznaję cię, Brunot — odpowiedziałem.

Brunota spotkałem po raz pierwszy w jakiejś kantynie madryckiej, w 36-ym. Był to namiętny Prowansalczyk o kruczych włosach i oczach jak dwie oliwki. W Madrycie spędziliśmy razem parę tygodni, potem dostał w kolano kawałek pocisku i poszedł do lazaretu. Od tego czasu nie widziałem go ani razu, dopiero tam.

Po wojnie wrócił do dziennikarstwa. Szczerząc białe, wystające zęby śmiał się teraz: — Na cośmy zeszli, Pankrat! Siedzieć w tej starej budzie i słuchać zakatarzonych morsów! Nie to, co dawniej. No passaran, te souviens-tu, eh?

Kiwałem głową i śmiałem się także. Chyba z dziesięć minut klepaliśmy się po ramionach. Brunot wyrzucał z siebie potoki słów. Grzmiącym szeptem opowiadał o swoich wojennych przygodach i wypytywał o moje. Musiałem mu przyrzec, że przyjdę do niego pogadać o Polsce. — Ludzie nie wszystko o was wiedzą — tłumaczył — warto napisać. — Znów zaczął mnie klepać i szczerzyć zęby, wykrzykując swoje „vieux diable!" Pracował w dwóch redakcjach: „Demain" i „Ce Soir". Obydwa pisma znałem — wieczorne dzienniki lewicowe. Obiecałem zajść po powrocie z terenu. Nie przewidywałem wtedy, jak bardzo mi się wkrótce przyda to spotkanie z Brunotem.

Na razie jednak musieliśmy się pożegnać. Rozmowę przerwała nam niespodziana cisza.

W sali zamarł nagle wszelki ruch, tylko biała smuga reflektora wznosiła się powoli, szukając jednego człowieka. Na trybunie stał już Cebrowski. Ludzie w głębi sali podnieśli się z miejsc. Cisza była tak ogromna, że student koło mnie, który chciał klaskać, zawahał się i położył ręce na kolanach. Potem oboje objęli się w pół i słuchali przytuleni do siebie. Dobiegły mnie pierwsze słowa:

— Rezolucja, uchwalona wczoraj mówi o wszystkim, nie wyrażając niczego. Czy należy opuścić tę salę, nie wysłuchawszy prawdy o dzisiejszym świecie, czy godzi się tak powrócić do ojczyzny?

Tekst Deklaracji ogłosiła wieczorna prasa w pełnym brzmieniu. Przytoczyły ją także, o ile wiem, nasze dzienniki w kraju. Cebrowski przemawiał po polsku. Stał nieco pochylony w przód, wparłszy obie ręce w krawędzie pulpitu i tylko ciężkim, powolnym ruchem barków akcentował słowa.

Trudno mi je teraz powtórzyć. Była w nich racja, nieustępliwa, otwarta racja; jedyna jaka istnieje. Mam pewność, że dla jednych musiały one być nienawistne, dla innych po prostu niewymienne, takie, których nie można zdradzić. Sądzę, że wielkość pewnych rzeczy mierzy się nienawiścią jednych i wiernością drugich. Cebrowski przekazywał nam z trybuny nasze własne myśli, ogłaszał naszą obecność, nasze istnienie; a tamtym — wszystko, czego się bali, czego nie chcieli uznać, co chcieli wdeptać w ziemię. Jego głos, słowa, które wyrzucał przed siebie, przerąbywały duszną, zastygłą ciszę, jak las. Są takie lasy, nietknięte toporem, nieruchome i tak gęste, że nie słychać w nich nawet szelestu. Czułem drętwotę w końcach palców, a gardło miałem ściśnięte. Moi sąsiedzi zaplietli się ramionami. Przez chwilę zobaczyłem Testynowicza, który na dole, w przeciwległym końcu, zadzierał głowę, wspięty na palcach. Rychwał, geolog, siedział jakby przytroczony do krzesła; spostrzegłem, że zaciska i rozkurcza pięść do rytmu słów padających z trybuny. Cebrowski wytworzył wtedy jakąś moralną elektryczność, którą odczuwali nawet obojętni. Lutrecht przez cały czas patrzył mu w twarz; ani na sekundę gdzie indziej. Nie mogłem odczytać jego wzroku, ale myślę, że chwila nie była dla niego łatwa. Nad mapą świata zwieszał się sztandar jego państwa. Cebrowski to państwo oskarżał. Słyszałem jak mówił: — Blask czterdziestu ośmiu gwiazd panowie, nie zdoła przygasić prawdy. Mimo iż gwiazd jest czterdzieści osiem, a prawda jest tylko jedna. — Według mnie było to nieźle powiedziane.

Deklaracja miała spełnić rolę młota, spadającego na nie dość głęboko wbity klin. Kongres według moich obliczeń nie mógł nam przynieść praktycznego zwycięstwa: organizatorzy zastosowali klucz, który pozbawiał nas większości. A jednak nie zdołali uchronić sali od rysy, dzielącej ją na dwa odłamy. Rysę ujawniła Deklaracja: po zejściu Cebrowskiego z trybuny w sali zawrzało i Kongres rozpołowił się, ukazując swoje wnętrze.

Przerwa, którą ogłoszono po przemówieniu Cebrowskiego, trwała krótko jak wybuch. Pamiętam tylko tupot dziennikarzy, którzy natychmiast zbiegli do kabin telefonicznych, zamęt i zgiełk, rozjarzone oczy studentów, szurgot krzeseł i wrzawę na dole, wreszcie dzwonek i znowu ten sam tupot dziennikarzy, którzy pośpiesznym stadem wracali na górę.

Deklaracja, prócz oświadczeń ideologicznych, zawierała wniosek organizacyjny. Jak twierdził później Cebrowski, „jeśli Deklaracja była wężem, to wniosek stanowił jej trujący jad". Grupa uczonych żądała w nim stworzenia Wszechświatowej Federacji Pracowników Nauki ze stałym Komitetem Porozumienia, jako organem wykonawczym. Do zadań Komitetu należy kontrola i ocena odkryć naukowych. Członkowie Federacji mają obowiązek zgłaszania do Komitetu wyników swych prac. Komitet bada je z punktu widzenia bezpieczeństwa pokoju i ludzkości. Członek Federacji, który z pominięciem Komitetu odda na czyjkolwiek użytek dokonane przez siebie odkrycie, będące w mocy zagrozić pokojowemu rozwojowi narodów, zostaje usunięty z Federacji. Uczonym, którzy na skutek zaciągniętych tą drogą zobowiązań cierpieliby prześladowania ze strony swych rządów — „Komitet gwarantuje azyl na terenie tych państw, gdzie wolność nauki nie pozostała jedynie hasłem, lecz jest rzeczywistą zasadą życia społecznego".

Rzecz prosta, że w tym wszystkim chodziło o ujawnienie prawdziwej linii podziału. Wniosek miał znaczenie retorycznej demonstracji. Projekt organizacyjny, odczytany przez Cebrowskiego, był dobrze rozważoną utopią, której w obecnym układzie politycznym nikt nie zdołałby urzeczywistnić. Cebrowski powiedział mi w kilka godzin potem: — Gdyby inspiratorzy tamtej strony mieli więcej czasu do namysłu, mogliby znaleźć łatwe wyjście i uniknąć awantury: po prostu odgrodzić się w dyskusji od części ideowo-politycznej, a poprzeć wniosek organizacyjny. Uratowaliby swój honor moralny, opinię ludzi dobrej woli w oczach paruset niezdecydowanych liberałów. Ale my liczyliśmy na popłoch. I nie przeliczyliśmy się. Podjęli walkę, głupcy.

Nie przeliczyli się. Po przerwie rozpętała się wściekła dyskusja, jakiś piekielny czardasz z figurami. Mówcy na trybunie wyskakiwali najeżeni i podrygujący niby pajace z pudełka. Co parę chwil rozlegał się dzwonek, czas przemówień ograniczono do dziesięciu minut. Na dobitek o wysokie okna sali gruchnął ziarnisty deszcz; padał zresztą od rana, ale wtedy nabrał nowych sił. Wszystko to wyglądało na inscenizację sprzed pięćdziesięciu lat. Publiczność balkonowa była nasza, przynajmniej w sporej części. Z czasem, podrażniona przez kilku kolejnych mówców, zaczęła nieźle reagować. Pamiętam szyderczy tumult, wzniecony pojawieniem się jakiegoś dyskutanta z czarną rozdwojoną brodą. Nie dano mu zabrać głosu. — Łajdak! Cagou! Salaud! — huczało zewsząd. Dziewczyna, pobladła ze złości, zdążyła mi wytłumaczyć w zgiełku, że brodacz to ex-minister i senator, z wykształcenia historyk, zamieszany w tylko co wykrytą aferę cagoulardów. Tuszował ją za wszelką cenę resort spraw wewnętrznych. Wśród okrzyków dosłyszałem znajomy głos: — Niech mówi! — wrzeszczał Brunot przechylony przez balustradę — niech mówi, ile wziął od Fénaca! — Dopiero później dowiedziałem się, że imprezę cagoulardów finansował między innymi koncern „Fénac". Opowiadano, że salon przy rue des Pyramides skupiał od kilku miesięcy osobistości z ambasad i kwater anglosaskich oraz francuskie koła wojskowo - polityczne, skompromitowane w czasie wojny.

O godzinie 4-ej prezydium w nieopisanej wrzawie musiało zamknąć dyskusję i zarządzić głosowanie nad Deklaracją. Myślę, że gdyby tego nie zrobiło, na sali wybuchłaby bijatyka. Kongres pękał z hukiem, jak stary, zmurszały głaz, głosowanie miało tylko odwalić rozłupane części. Przypuszczam jednak, że druga strona spostrzegła popełniony błąd, bo przewodniczący w pewnej chwili wstał i targnąwszy dzwonkiem oznajmił, że „z powodu późnej pory uważa za celowe dla skrócenia procedury przeprowadzić głosowanie delegacjami". Delegacja, w której na 10 głosów 6 padłoby „przeciw", a 4 „za" — oddałaby w myśl tej procedury jeden anonimowy głos „przeciw". Zanim skończył, na balkonach zadygotało od tupotu i wrzasku: — Imiennie i jawnie! Imiennie i jawnie! — domagano się ze wszystkich stron. Brunot o mało nie wypadł z balkonu i ryczał wymachując pięściami. Kiedy przewodniczący porał się z dzwonkiem, chcąc przekrzyczeć tłum, nagle hałas, tupanie i zgiełk ustały. Zrobiło się zupełnie cicho. Z dołu rozległ się czyjś spokojny głos. Lutrecht, zahaczywszy wielkie palce obu rąk o kieszenie kamizelki, powiedział niewiele zdań: — Gentlemen, Myślę, że należałoby uczynić dwie rzeczy. Poprosić publiczność o spokój i rozpocząć imienne głosowanie nad Deklaracją. Pora jest późna. Ale każdy z panów będzie lepiej spał, jeżeli jawnie i zgodnie z sumieniem odda swój głos.

Skończył w tej samej ciszy. Nie wszyscy pewnie uświadomili sobie wtedy, że to co się stało, było początkiem sprawy, nazwanej później przez prasę światową „sprawą hotelu Claridge".

Wynik głosowania pamiętam: 252 „przeciw", 269 „za". Wstrzymało się od głosu około 140 delegatów. „Lutrecht głosował za Deklaracją, potępiającą jego rząd" — przytaczam dosłownie tekst czołowych nagłówków w porannej prasie. W wywiadzie udzielonym dziennikarzom oświadczył, że Jerzy Waszyngton na jego miejscu postąpiłby tak samo.— Charmant garçon! — powiedziała moja rudowłosa sąsiadka.

Kiedy odczytano wyniki, nie rozległy się oklaski. Stałem w tłumie, który milczał, zdławiony przez wzruszenie. Dopiero po chwili, gdy z dołu zaczął dochodzić pomieszany gwar i odgłos przesuwanych krzeseł — dopiero wówczas, na górze, z kilku stron zaintonowano Międzynarodówkę. Studenci śpiewali, trzymając się pod ręce. Z dołu podnoszono głowy ku balkonom. Ponieważ francuskie słowa, których Janek Kotlar nauczył mnie w Hiszpanii, wypadły mi z pamięci, śpiewałem po prostu: „Wyklęty powstań ludu ziemi...". Z początku bałem się, że to źle wyjdzie i że jeden tekst będzie przeszkadzał drugiemu. Ale nie. Nie przeszkodziły sobie. Nie przeszkodziły sobie ani na chwilę.

Kazimierz Brandys

Fragment powieści „Troja miasto otwarte", która niebawem ukaże się nakładem „Czytelnika"

STANISŁAW WYGODZKI

PIEŚŃ O ŻYCIU POZAGROBOWYM

Ach, ptaku, ptaszyno, ptaszysko,
kozico, ach sarno, sarenko,
znów świtem wyjdziemy na rżysko,
by wrócić do Pana z podzięką,
ach, trzcino, ty trzcino nadwodna,
ptak czarny przeleciał i wolny,
wieś wraca do chałup, lecz głodna,
znów cierpi człowiek bezrolny.

Przeleciał kruk czarny i pomknął
i ryba smyrgnęła srebrzysta,
las na horyzoncie się domknął,
jak cicha, wieczorna przystań,
lecz my ni to zwierz, ni to ptaki,
ni trzcina co szumi powolna,
nam czarne zostały czworaki —
do śmierci ręka bezrolna.

Ropucho, jaszczurko płaska,
kaczuszko i ty wodna kurko,
wam wolno pomykać o brzasku
i w wodę uśpioną dać nurka,
podpływać, zaszywać się w zielsku,
w szuwary pomykać a chyżo.
Po śmierci chwałą anielską
Piotr do nas w niebiosach się zbliży.

Obejrzy te krople potu,
i krople krwi niezastygłej,
krzyż zbity z żerdzi płotów
poniesiem jak grabie i widły,
staniem równi przed jego obliczem
niewolnicy, pany i księża,
antychrysty smagane biczem
i wierni co syczą jak węże.

Spojrzy Pan Bóg na swoje owieczki,
co cicho stanęły pod niebem,
na tych co palili mu świeczki,
a naszym karmili się chlebem
i spyta biskupów w ornatach:
gdzie srodzy się kryją oprawcy
co tyle biedoty ze świata
zegnali przed trony Wybawcy?

A nas się zapyta łagodnie
gdzie nędzy olbrzymiej jest źródło
i spyta dlaczegośmy głodni
i w twarze spogląda wychudłe...
I w dumę uderzy herzogów,
i w dumę uderzy książęcą,
jakgdyby ten bliższy był Bogu
kto biedny i ten co udręczon.

Ci z Rzymu pokażą purpurę,
ci z zamków pokażą korony,
a my Mu ten knut i te sznury
i w ciało kieł wbity od brony
i pieśń co Mu kładą w podzięce
za ziemię nam daną od Boga
i głowy się schylą i ręce
i cicho staniemy u proga.

I dadzą z niebiańskich szkatuł,
bez maszczeń, spowiedzi i pytań,
szmat nieba za drobną opłatą,
most rajski bez cła i bez myta
i wejdziem w noc jasną, bezmglistą
do raju na wieki, hosanna!
I z nami tam wejdzie Pan Chrystus,
jak światłość nad ziemią poranna.

PABLO NERUDA O POLSCE

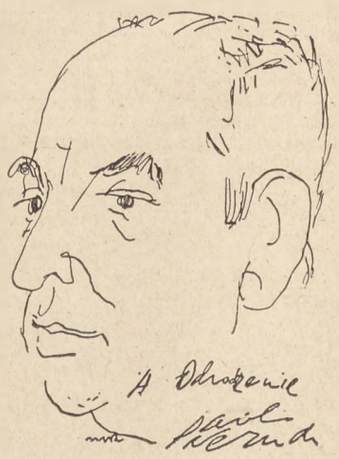

rys. Marek Rudnicki

Niedawno bawiąc przejazdem w Warszawie Pablo Neruda przemawiał do swego narodu w języku hiszpańskim przed mikrofonem Polskiego Radia. Odczytał wtedy list wysłany z Polski do Międzynarodowego Kongresu Architektury w Bergamo oraz opowiadał o naszym kraju. Poniżej podajemy tekst jego listu w pełnym brzmieniu i fragment przemówienia poety.

Niedawno zwiedzałem Związek Radziecki, a ostatnio powróciłem z wycieczki po Polsce. Te oba kraje pokoju można by nazwać krajami odbudowy i architektury. Nikt tam nie myśli o wojnie. Jestem pewien, że każdy przechodzień na ulicach Warszawy, czy to architekt, czy też robotnik, związany jest mocno z dziełem odbudowy świata zniszczonego przez wojnę. Naród polski rozmiłował się w budownictwie, skupił na nim wszystkie swoje nadzieje. Istnieją jednak dwa rodzaje budownictwa. Wśród lasów i jezior mazurskich widziałem ogromne bunkry, w których miał urzędować sztab Goeringa. Ich masywne mury, instalacje elektryczne i urządzenia maskujące — to budownictwo doskonałe, lecz jakże obrzydliwe. Owe bunkry Goeringa, dzieło „mądrości" Zachodu, po dziś dzień zieją nienawiścią wśród wspaniałych lasów i jezior. Tymczasem na ulicach Stalingradu i Warszawy wznoszą się ponad rumowiskami wspaniałe budowle świadczące o nieustannej trosce o losy człowieka.

Na kilka miesięcy przed końcem wojny pewien architekt z mojej ojczyzny, z Chile, wpadł na świetny pomysł. A były to czasy wielkich nadziei dla świata. Ów architekt, Sergio Larrain, opracował dokładny projekt budowy osiedli mieszkaniowych dla całej Ameryki Łacińskiej. Obliczył ilość potrzebnego materiału budowlanego, koszty i organizację transportu, pracę architektów itd. Projekt swój przesłał na ręce potężnego wówczas szefa Departamentu Ameryki Łacińskiej w Waszyngtonie — Nelsona Rockefellera. Z projektu wynikało, że jeśli w chwili zakończenia wojny Stany Zjednoczone oddadzą sumę przeznaczoną na prowadzenie wojny przez półtora dnia, kwota ta wystarczy na wybudowanie miliona mieszkań, tak bardzo potrzebnych w Ameryce Łacińskiej. Architekt Sergio Larrain i Nelson Rockefeller byli przyjaciółmi, jednak list architekta chilijskiego nie doczekał się odpowiedzi. Wtedy, gdy miliony ludzi w Ameryce i na całym świecie nie miały odzieży i dachu nad głową, ogromne fundusze przeznaczano na bunkry Goeringa i na produkcję bomby atomowej.

Mimo wszystko my, zwolennicy pokoju, liczniejsi jesteśmy dzisiaj od tłumu podżegaczy wojennych. Kiedy myślę o najlepszych sposród nas, widzę wśród nich również architektów, do których należy budownictwo pokojowe. Dlaczego więc wszystkimi siłami nie zwalczamy ludzi, którzy chcieliby ponownie zniszczyć Warszawę i Stalingrad? Czy pozwolimy, by w imię okrucieństwa i interesu znowu zrównano z ziemią to wszystko, co z ruin powstaje?

Architekci Warszawy pokazywali mi, jak chaotyczna masa rumowisk przetworzona została w nowy materiał budowlany. Głęboka mądrość tkwi w takich cegłach. Zawierają one w sobie zniszczenie i ból, bohaterstwo i pragnienie pokoju. W imię cierpień i nadziei całej ludzkości wzywam was, aby wasz Kongres stanął zdecydowanie po stronie pokoju. Wzywam was, abyście przyjęli rezolucję Kongresu Paryskiego, rezolucję wyrażającą wolę przeszło 600.000 ludzi. Musicie zdecydować, co dziś i w przyszłości budować mają architekci — fortyfikacje, czy też spokojne i szczęśliwe miasta.

*

Pragnę odmalować tętno życia umęczonego, ale z nową siłą powstającego narodu polskiego. Widziałem łany pszeniczne, gdzie maki przypominają mi przelaną krew. Widziałem w Katowicach huty i kopalnie węgla, rozmawiałem z bohaterami pracy. Widziałem port w Gdańsku i wielkie, nowozbudowane dźwigi portowe. Widziałem również dzikie łabędzie na jeziorach mazurskich, wonne lasy sosnowe, łąki o niebieskich kwiatach. Widziałem spółdzielnie wiejskie i spółdzielnie rybackie. Widziałem, jak marzenia milionów ludzi stają się rzeczywistością, jak przemienia się człowiek i jak obiega waszą ziemię polską prąd młodzieńczej energii. Pragnę powiedzieć, że ziemie te, gdzie życie ludzkie spływało krwią na przestrzeni wieków, pomimo ruin wydają mi się krajem młodszym od feodalnej Ameryki, z której pochodzę. Tak zwany Nowy Świat nie ma w sobie nic nowego poza samą nazwą i poza nadzieją naszych ludów wyzyskiwanych, że kiedyś będzie inaczej. Tymczasem nędza i wyzysk niemiłosierny są jak okropne rany pokrywające żywe ciało.

Oby pieśń młotów i rusztowań, oby śpiew młodych ludzi, żyjących w ciągłym ruchu i to czyste powietrze płynące na cały świat z miast i wsi Związku Radzieckiego, uniosły się nad ziemie i morza, stały się udziałem ludzi z innych, dalekich stron.

Poprzez wszystkie przestrzenie przebiegnie i trafi do głębi serca ludzkiego szum nowej Polski, szum fabryk i pól pszenicznych.

Pozdrawiam was, ludzie pracy, Partio i Rządzie, fabryki i pola Polski. Uczyłem się u was wielkości, spokoju, pracy, bohaterstwa i prostoty. Przyjmuję od was to wszystko — są to najcenniejsze dary, jakie ofiarować może naród. Łączycie człowieka z ziemią, nie w pojęciu śmierci, ale cudownego tworzenia życia.

Pablo Neruda

przełożył **Stanisław Ziembicki**

FR. OLBRYCHSKI

Czy historyczne dzieje Polski zaczyna rok 966?

Dla nauki polskiej nadchodzą pracowite lata. W niedalekim czasie kraj nasz będzie obchodził wyjątkowy jubileusz — 1000-lecie istnienia Państwa Polskiego na zajmowanych obecnie ziemiach. Piękny kawał historii. Dla nauki zaś — olbrzymi okres bilansowy.

Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że ten imponujący obszar dziejów historycznych zostanie w najbliższych latach przedłużony o kulturę przedpiastowskiego tworu politycznego na poważnej części naszych ziem — a mianowicie na obszarze tak zwanego przez historyków Państwa Wiślan.

Biało-czerwony proporczyk, zatknięty tego lata po raz pierwszy od niepamiętnych czasów ponad kopcem przedhistorycznego grodziska w Wiślicy i podjęte tam prace archeologów — prehistoryków przenoszą myśl w owe bardzo odległe i przez naukę dotychczas raczej pomijane czasy.

POCZĄTKI PISANYCH DZIEJÓW POLSKI

Któż z nas nie pamięta pierwszych dat z historii Polski, podawanych nam dotychczas w szkołach? W roku 965 Mieszko I bierze Czeszkę Dąbrówkę za żonę. W następnym już roku robi przykrą niespodziankę śmiertelnie groźnemu dla Słowiańszczyzny zachodniemu sąsiadowi — przyjmując chrzest wraz ze swym państwem. Co zaś najważniejsze — nową wiarę przyjmuje nie wprost z Niemiec, choć to państwo uzurpowało sobie monopol na zwierzchnią władzę i na szerzenie wiary chrześcijańskiej w Europie, lecz przez pobratymcze Czechy.

Stało się to bynajmniej nie przypadkowo. Dzielny książę Polan, o którego plemionach znad Odry, Warty i Noteci historia ani razu nie zrobiła wzmianki — organizował właśnie skuteczną zaporę przeciwko wzmagającemu się Drang nach Osten — podniesionemu już wówczas do rangi dogmatu kanonowi polityki germańskiej. Po pierwszych doświadczeniach i starciach zbrojnych, dzięki którym — chociaż na razie pokonany — zasłużył sobie na pierwszą wzmiankę w kronice niemieckiej pod rokiem 963, ten bystry i ambitny władca puszcz polańskich obmyśla sposoby, jakimi by się temu naporowi nieprzyjaciela przeciwstawić, a plemiona słowiańskie ocalić przed niechybną zagładą. Nie trudno było odgadnąć, jaki sens polityczny miało obdarzanie Słowian przez duchownych kronikarzy niemieckich mianem niewolników (sclave).

Odpowiedzią na te groźby są śmiałe posunięcia polityki Mieszka, o których doniosłości świadczy choćby fakt, że zaraz pod rokiem 966 kilkanaście współczesnych źródeł historycznych, zwłaszcza niemieckich, notuje: Mieszko chrzci się. Po dotychczasowym milczeniu o Polsce — jest to bardzo wiele.

Tak oto przed tysiącem lat zaczęły się znane wszystkim, pisane dzieje Polski, datujące się od chrztu Mieszka Piastowicza.

Odziedziczonym po ojcu orężem oraz „lisią chytrością" — jak nie bez żalu i złośliwości określa to relacja biskupa niemieckiego — „złączył królestwo w jedno" syn Mieszka i Dąbrówki — Bolesław, nazwany Chrobrym. Panowaniu pierwszego ukoronowanego zwierzchnika ziem polskich karty historii i u nas i u naszych sąsiadów miejsca już nie szczędzą.

Tablica erekcyjna gotyckiej kolegiaty wiślickiej

GNIEZNO, KRAKÓW CZY WIŚLICA

Nazwy wymienionych w tytule miejscowości — to droga poszukiwań na mapie naszego kraju nie tylko kolebki plemienno - szczepowej, lecz przede wszystkim najdawniejszej polityczno-gospodarczej i kulturalnej organizacji na tych ziemiach.

Już w tym uszeregowaniu; Poznań, Gniezno, Kraków czy Wiślica — łatwo wskazać dzielnicę, z którą najściślej zespalać się będzie główny nurt historii naszego kraju. Ważność jego w niczym nie będzie umniejszona, gdy nazwy, uzupełnione jeszcze Warszawą, — zostaną wymienione w odwrotnym porządku.

Odkrycie prasłowiańskiej osady sprzed blisko półtora tysiąca lat w Biskupinie przydało opowiadaniom o czasach przedhistorycznych w głębi szczepowych ziem Polan wiele świeżych barw życia. Toteż obecnie słuchamy tych podań znad Gopła, Warty i Noteci (jak np. o przybyciu w te strony Lecha, założeniu przezeń Gniezna lub o, wygaśnięciu tyrańskiej linii Popielidów z Kruszwicy i o wyborze powszechną wolą Polan Piasta— Kołodzieja) — inaczej, aniżeli przed odkryciem Biskupina.

Jakkolwiek Polanie z Piastowiczami na czele rozpoczęli dzieło organizacji państwa i kościoła w Gnieźnie i Poznaniu, to przecież rychło ośrodkiem życia państwowego staje się Kraków, a właściwie tak zwana dzielnica małopolska.

Co prawda, już pierwsi królowie i książęta polscy dostrzegają dalekie szlaki historii. Tworzą ją. Jak widać z ich czynów, rozumieją potrzebę scalenia w jedno państwo wszystkich plemion słowiańskich, pozostałych u wschodnich granic państwa niemieckiego: od Sudetów po Rugię i Pomorze. Chociaż więc całą siłą prą przez Szczecin ku Bałtykowi — to jednak najczęściej „mieszkają" i przygotowują swe plany w dzielnicy krakowsko-sandomierskiej.

POTĘŻNY KSIĄŻĘ WIŚLAN

I nic dziwnego. Zdawali sobie bowiem sprawę, że ziemie te posiadają obronne i najbezpieczniejsze ze wszystkich położenie, lecz niewątpliwie bardziej jeszcze pociągała ich wyższość zorganizowanego w dużej skali bytu politycznego tej dzielnicy. Albowiem mniej więcej w czasie gdy pradziad Mieszka był — jak mówi podanie — powołany powszechną wolą Polan na opuszczony przez Popiela zamek, — a więc co najmniej sto lat przed ukazaniem się na widowni Mieszka I — źródło historyczne uznane za zupełnie pewne i wiarygodne wymienia już potężnego „księcia Wiślan", który nie mógł siedzieć gdzie indziej, jak na niedostępnym dla nieprzyjaciela grodzie w Wiślicy nad Nidą. Przez nikogo nie kwestionowany „Żywot Metodego", który o tym pisze, wytyka księciu Wiślan, że „urągał chrześcijanom i szkody im wyrządzał".

Kiedyż to się działo?... O, dawno przed Mieszkiem.

Informacje te odnoszą się do pierwszego dwudziestopięciolecia drugiej połowy IX w. Potężne już wówczas państwo Wiślan według sumiennych i wnikliwych dociekań historyków rozpościerało się od Sudetów i Nysy Łużyckiej po Bug i górny Styr, a swoją szerokością wypełniało cały obszar ziemi pomiędzy praborami Tatr i Karpat na południu a prapuszczą Łysogór i puszczą radomską na północy. Od tej strony zagarniało nawet część ziem mazowieckich, zwłaszcza w obrębie lubelszczyzny.

Państwo Piastów miało więc na tych ziemiach potężnego poprzednika.

Droga do zorganizowania w owych czasach tak rozległego państwa pod zwierzchnią władzą książąt, którzy musieli wpierw przełamywać odwieczne przyzwyczajenie ludności do znanego u plemion słowiańskich ustroju wspólnoty i wieców — była na pewno nie krótka. Trudno chyba zamknąć ją w dziesiątkach lat.

OCHRZCZENI 100 LAT PRZED MIESZKIEM

Źródła historyczne wskazują także skąd najpierw przychodziło chrześcijaństwo nad Wisłę. Co więcej, wszystko przemawia za tym, że południowa część późniejszego państwa polskiego była ochrzczona już cały wiek przed Mieszkiem i Dąbrówką. O czym się zaś nie mówi — pierwszym na tych ziemiach był obrządek słowiański.

„Potężny książę w Wiślech" (nie w Krakowie, gdyż nazwano by go tak niewątpliwie wyraźnie) nie tylko sam wzbraniał się porzucić pogaństwo, lecz nadto utrudniał misję metropolicie morawskiemu, Metodemu, który wraz z bratem Cyrylem na początku drugiej połowy IX w. — po pozyskaniu dla kościoła greckiego Bułgarii — przeniósł swą działalność misyjną do Słowian zachodnich. Przynosili tu świątobliwi ci bracia, oprócz przełożonej na język słowiański Biblii i nowego alfabetu, słowiański obrządek liturgiczny, a więc i zgodę na ludowy, swojski język także i w pieśniach oraz modłach ludu. Tym m. i. górowali nad wysyłanym do Słowian przez państwa germańskie duchowieństwem rzymskim, które wprowadzało obrządki w języku łacińskim.

Z Pannonii (dziś Słowacja i Węgry) oraz z Moraw i Czech misje Metodego sięgnęły do plemion słowiańskich na północ od Sudetów i Karpat. Objąć więc musiały przede wszystkim rozległe państwo Wiślan. Skarga biskupów niemieckich do papieża z r. 900 na tę szeroko zakrojoną i intensywnie prowadzoną akcję w duchu i obrządku Cyryla i Metodego dowodzi, że plemiona, wchodzące w skład późniejszej Małopolski były już wcześniej ochrzczone.

Co więcej, nawet w czasie gdy Mieszko chrzci się i bierze Dąbrówkę za żonę — Kraków (a prawdopodobnie i Wiślica) — jak dowodzi pewne świadectwo Ibrahima ibn Jakuba — należy do chrześcijańskich Czech, które od połowy X w. mocno są trzymane w lennej i kościelnej zależności od Niemiec. Mimo, że państwo Wiślan zagarnął ojciec Dąbrówki — Bolesław, to jednak ani Mieszko ani Dąbrówka nie dopominają się o bogatą ziemię Wiślan. Owszem, sięgnie po nią Mieszko, lecz dopiero u schyłku swego życia.

Przypuścić należy, że jako poganin nie mógł wcześniej liczyć na przychylne przyjęcie wśród plemion, które od blisko stu lat były ochrzczone. Z Gniezna i Poznania zaprowadzono w nowopowstającym państwie obrządek łaciński, w Krakowie zaś i Wiślicy wznosiły się od dawna rotundy dla obrządku słowiańskiego, w których z czasem dopiero Hospodyna zastąpił Dominus.

WYPRAWA PO KULTURĘ WIŚLAN

Z dwu głównych w przeszłości grodów Wiślan po włączeniu tych dziedzin do Państwa Polan — tylko Kraków, położony nad Wisłą, mógł być brany w rachubę, jako stolica nowego państwa, znacznie większego jeszcze, niż było państwo Wiślan. Ustronne, trudno dostępne położenie Wiślicy, brak źródlanej wody zdatnej do picia, szczupłość terenu do rozbudowy, a szczególnie obce najazdy, których pożogi znosiły miasta nieraz prawie doszczętnie, — obok nowych warunków i potrzeb w nowym państwie — odsuwały ten prastary gród stołeczny Wiślan najpierw na drugie po Krakowie miejsce a następnie — wraz z otaczającym go tłem pre - i historycznych śladów bogatej przeszłości — zakonserwowały go pod osłoną legend i podań.

W państwie Polan odbywają się jednak tutaj dzielnicowe zjazdy na wiece małopolskie.

Rejon Wiślicy — jako przekaz plemiennego niegdyś tworu a następnie jako ośrodek szczepowej organizacji Wiślan — w tym co do dziś dnia zachował samoczynnie nie ma równego w Polsce.

Wprost trudno zrozumieć dlaczego dotychczas — i to od dawna — nie poddano tej połaci kraju, choćby tylko w interesie naukowym, odpowiednim badaniom i konserwacji, a następnie — nie udostępniono dla turystyki.

Szczególnie zaś musi dziwić, że nawet po rewelacyjnych a zarazem nadzwyczaj wnikliwych spojrzeniach w przeszłość, które np. w odniesieniu do ziem południowych Polski tak stale zdumiewają w pracach Potkańskiego, uczeni specjaliści nie przeprowadzili na tym terenie równie gruntownych i systematycznych badań — chociażby w odpowiednim stosunku do wagi i ilości tych zagadnień z przeszłości, które nieraz w jednakim stopniu obchodzą naukę Czech, Węgier, Rusi i Polski. A tych spraw niedopowiedzianych z braku odpowiednich przekazów pisanych, wyniszczonych na skutek różnych najazdów, było i jest co niemiara. Wymienię tylko brak szczerego i jasnego poglądu na początki chrześcijaństwa u Słowian Zachodnich i na zasięg ofiarnej akcji misyjnej Cyryla i Metodego, przychodzących bez miecza germańskiego — z obrządkiem słowiańskim chrześcijaństwa.

Dopiero obecnie do rejonu Wiślicy przybyła ekspedycja archeologów.

Sprowadziły ich tutaj wyniki prac archeologicznych na odległym stąd terenie wśród Roztocza między Wieprzem a Bugiem w powiecie zamojskim. Mianowicie dokładne badania — wymienione w lapopisie Nestora — grodziska Sąsiadka (Sutjest) budowanego trzykrotnie na przestrzeni od XI do XIII w. wykazały pod najstarszym grodem materiał tak zwany krakowski. Analiza naukowa tego materiału archeologicznego narzuciła wniosek, iż na teren Roztocza przenikał przed X w. wpływ kultury zachodniej — tej właśnie, jaka na ziemiach późniejszej Małopolski (ziemie krakowska, sandomierska i lubelska) — wyprzedzała państwo Mieszka.

Gdzie szukać jej ośrodka na naszych ziemiach?

Wszystkie pisane źródła historyczne do tej epoki, podobnie jak już wymieniony „Żywot Metodego" (a o grodach słowiańskich w szczególności t. zw. geograf bawarski) — wskazują w tym wypadku na Wiślicę.

Takie szły narady w gronie uczonych archeologów i historyków, którzy postanowili dotrzeć do śladów kultury przedpolańskiej ziem małopolskich w samym jej mateczniku — rejonie wiślickim.

Już pierwsze prace wykopaliskowe nad grodziskiem w Wiślicy i „rozejrzenie się w terenie" wywołało u badaczy opinię, iż do naukowego rozprawienia się z tą okolicą potrzeba wielu lat wytrwałej pracy, ze względu na bogactwo jej przekazów dla archeologa.

W ten sposób, 1000-letnia perspektywa naszej przeszłości, znanej wszystkim z dziejów zorganizowanego przez Piastów państwa — zostanie znacznie pogłębiona i przedłużona w czasie.

Fr. Olbrychski

STANISŁAW DZIKOWSKI

MĄDRA DZIEWCZYNA

KLECHDA

Byli we wsi dwaj gospodarze. Jeden był bardzo bogaty, a drugi bardzo ubogi. Pokumali się kiedyś wprawdzie, ale nic z tego dobrego nie wyszło dla mizeraka. Majętny chłop zasiewał przez kilka lat grunt tego ubogiego i coś mu tam za to dawał — dawał niewiele. Wiadomo: im kto bogatszy, tym skąpszy. Drudzy ludzie ze wsi tłumaczyli nieborakowi, żeby majętnemu ziemi więcej nie wypuszczał, tylko ją takiemu wynajął, co lepiej zapłaci.

— Cóż to — gadali — tłusty połeć będziesz smarował?

Biedak postanowił tedy bogatemu grunt odebrać. Ale tamten nie chciał słyszeć o niczym:

— Ja już siedzę tutaj kilka lat, grunt jakby mój, kumie.

I tak poszli do sądu. Sędziemu trudno było sprawę rozsądzić, więc wziął się na sposób i powiada tak:

— Ja z wami oboma rady sobie dać nie mogę. Ja wam zadam taką jedną przypowiastkę, przyjdziecie jutro do mnie i ten z was prawo wygra, który mi powie: co jest na świecie najszybsze, najsłodsze i najtłuściejsze.

Mizerak poskrobał się po głowie, bo był Bogu ducha winien i nie miał nigdy nic najszybszego, nie jadł też nigdy nic najsłodszego ani najtłuściejszego. Za to bogacz uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł biedakowi:

— No, teraz cię dopiero usadzę!

I poszedł zadowolony do swojej chałupy.

Mizerak ledwo się dowlókł do domu, bo nie wiedział, co jutro pocznie. Żony się nie mógł poradzić, skoro mu przed rokiem umarła. Rządził się tylko z córką osiemnastoletnią, która była piękna i niegłupia. Ta córka, widząc teraz ojca wielce zmartwionego, zapytała:

— Mój ojcze, cóż was znowu trapi?

— Chyba nam teraz grunt na zawsze przepadnie — odpowiedział nieborak — bo mi sędzia zadał taką zagadkę, że na nią niepodobna odpowiedzieć. Bogaty zaś ma wszystko i łatwo mu będzie w każdej okazji radę znaleźć.

Kiedy dziewczyna dowiedziała się, o co chodzi, uśmiechnęła się i tak mówi:

— Jutro rano powiem wam, żebyście przez noc nie zapomnieli, co jest na świecie najszybsze, najsłodsze i najtłuściejsze.

— O moja córko — zauważył ojciec — jakżebyś to odgadnąć mogła? Tyś przecież do szkoły nie chodziła i z izby nie wychodziłaś daleko, na świat szeroki....

— To nic nie znaczy, jeśli jest jakaś sprawiedliwość, to prawo wygrać musimy.

Tymczasem bogacz choć wesoły miał trochę klina w głowie i bał się, bo może inaczej wypadnie, niż sobie umyślił. Ale jego baba kazała mu być dobrej myśli.

rys. Jan Bobrowicz

— O cóżbyś się, głupi, martwił — tłumaczyła — my jesteśmy ludzie dostatni i mamy to, co jest najszybsze, najsłodsze i najtłuściejsze. Nasz źrebiec jest rączy i zwinny, miód z naszej pasieki najsłodszy a szperka, skoro świnia dobrze upasiona, najtłuściejsza. Zawieziesz to wszystko sędziemu, bo nasz sędzia za darmo sądzić nie lubi. I grunt będzie nasz!

Bogacz przespał noc spokojnie, bo mu się wydawało, że wie i ma wszystko.

Rano biedak dowiedział się, co trzeba było od córki i poszedł do sądu, gdzie już siedział bogaty. Darował on sędziemu źrebca, parę beczek miodu i spaśnego wieprza. Ubogi nic nie dał, bo sam nic nie miał. Potem sędzia rozłączył ich, żeby jeden drugiego nie słyszał i najpierw zapytał bogacza. Ten wyśpiewał, co wiedział, że jego źrebiec jest najszybszy, miód najsłodszy od jego pszczół, a szperka najtłuściejsza, kiedy się wieprz upasie na jego otrębach.

Sędzia uśmiechnął się na to wszystko i zawołał biedaka, który powiedział to, czego go córka nauczyła:

— Najszybsze są nasze myśli, bo w okamgnieniu tysiące mil przebiec mogą i gwiazd sięgają; najsłodszy jest sen, bo jak się spać chce, to wszystko inne niemiłe; najtłuściejsza jest ziemia, bo nas wszystkich żywi.

— Zgadłeś — powiedział sędzia — i sprawę wygrałeś; bogacz grunt ci musi oddać i koszta zapłacić. Ale to coś powiedział, nie jest z twojej głowy! Kto cię tej gadki nauczył?

Biedak musiał się przyznać, że córka jego tak odpowiedzieć kazała.

— A ile ona ma lat? — zapytał sędzia.

— Osiemnaście.

— Kiedy ona taka mądra — rzekł sędzia po chwili namysłu — to jej powiedz, żeby tu do mnie przyjechała, a nie przyjechała, żeby była ubrana, a nieubrana, żeby mi przyniosła podarunek, a nie przyniosła podarunku i żeby nie jechała ani dniem, ani nocą.

Biedak się zasmucił tym rozkazem, ale kiedy przyszedł do domu i córce rozpowiedział, co pan nowego wymyślił, ona rzekła:

— I z tym sobie poradzę, postarajcie mi się tylko o koszulę drucianą i złapcie jakiegoś ptaka.

Biedak ucieszył się, że jego córka i w takich żartach na cztery nogi kuta; postarał się o wszystko, czego chciała i czekał, co dalej z tego wyniknie.

Na drugi dzień sędzia, który był jeszcze nieżonaty, wstał bardzo wcześnie, bo lubił wstawać wcześnie i wyglądać przez okno. Ledwie świtało i słońce jeszcze nie wzeszło, nie była to noc ani nie był jeszcze dzień. Sędzia patrzy, a tu córka biedaka ukazała się w koszuli drucianej, jechała na kozie, a nogą szła po ziemi. Przyjechała pod okno i podała mu z ręki ptaka, który zaraz uleciał. I wtedy rzekła:

— Ano tom do wielmożnego pana sędziego przyjechała i nie przyjechała, bom siedziała na kozie, a nogami szłam po ziemi; jestem ubrana, a nieubrana, bo przez koszulę mi ciało widać; dałam podarunek, a nie dałam, bo ptak uleciał; nie jechałam ani w dzień ani w nocy, bo teraz nie jest ani dzień ani noc.

Udało się to wszystko sędziemu, przyjrzał się dobrze pięknej dziewczynie i powiada:

— Kiedyś taka mądra, to musisz zostać moją żoną. Jeżeli się zgodzisz, wymawiam sobie tylko, żebyś nigdy do moich spraw się nie wtrącała i jedynie domem naszym rządziła. Inaczej, nie chciałbym cię na oczy widzieć.

— Ano niech i tak będzie, jak pan mówi — rzekła dziewczyna — ale jakże ja pójdę za pana, kiedy jestem prostą i biedną chłopką i nic nie umiem...

— To nic nie szkodzi! — odpowiedział pan i dał na zapowiedzi.

Niebawem odbyło się sute wesele.

Żyli ze sobą bardzo dobrze przez lat kilka i mieli już troje dzieci. Sędzia wciąż sądził, jego żona nie przeszkadzała mu w sprawach, rządziła jeno dworską służbą. Z prostej dziewczyny zrobiła się bardzo porządna pani, gospodarna, skrzętna; gadali nawet ludzie, że i samym panem rządzi, lecz mu to zawsze na dobre wychodzi. Sąsiedzi przecież żartowali sobie z pana sędziego, że dał się opanować prostej chłopce. Sędzia przeto stał się bardziej uważny, a nawet podejrzliwy.

Pewnego razu wydarzyło się jednak, że żona sędziego wetknęła mimo woli swój nosek w mężowskie sprawy. A było to tak:

W pobliskim miasteczku odbywał się targ. Jeden chłop przyjechał z kobyłą i z małym źrebięciem, a drugi gospodarz, którym był właśnie ów bogacz, co się niegdyś przed sędzią z biedakiem prawował, zajechał jednym tylko koniem. Kiedy wozy obu zatrzymały się blisko siebie, źrebaczek poszedł do konia i położył się koło niego. Bogaty chłop, który chciał zawsze nad wszystkimi przewodzić i wszystkich cyganić, powiedział, że źrebaczek do niego należy, bo się jego koń oźrebił. I tak się przy swoim upierał, że sprawa poszła do sądu. W sądzie ten, do którego kobyła należała, nie znalazł sprawiedliwości. Sędzia wziął kilka talarów i przysądził źrebaka bogaczowi a nawet powiedział, że widać koń się oźrebił.

Chłop zmartwiony takim krzywdzącym wyrokiem nie wiedział, jak sobie poradzić. Dopiero ludzie powiedzieli mu, żeby najlepiej poszedł do żony sędziego. Ona jest bardzo mądra, chłopka z pochodzenia i jeżeli zechce, pomóc potrafi.

Jakoż, kiedy wysłuchała całej sprawy, nauczyła gospodarza jak ma postąpić; prosiła go tylko, żeby jej przed mężem nie zdradził.

Kiedy na drugi dzień rano sędzia wyjrzał przez okno swego domu, zobaczył, że na drodze jakiś chłop rozciągnął sieci i jakby ryby łapał. Sędzia zaciekawiony wyleciał z domu i pyta:

— Ej, chłopie, co wy tam robicie?

— Ano, panie sędzio, ryby sobie łapię.

— Głupi człowieku, po co ty w piasku ryb szukasz? Ryby są przecież w wodzie.

— Tak samo dobrze — odpowiedział gospodarz — ryby dadzą się znaleźć na ulicy, jak koń może się oźrebić.

Ludzie, którzy się temu wszystkiemu przypatrywali, wybuchnęli głośnym śmiechem. Ktoś nawet przypomniał niedawny proces. Sędzia rozgniewany wziął tego rybaka do swojej kancelarii i mówi:

— Ja ci dam pismo, żeby ci źrebaka oddali, ale musisz mi powiedzieć, kto cię takiego figla nauczył.

Chłop ucieszony dobrym sprawy obrotem wyznał bez wielkiego namysłu:

— Pani sędzina...

— Tak sobie myślałem... — mruknął sędzia i zaraz do niej poleciał.

Kiedy zobaczyła jego gniewne oblicze, spytała spokojnie:

— Czy ci się coś niedobrego wydarzyło, panie mężu?

— To się wydarzyło — krzyczał zapalczywie — żeś słowa danego dotrzymać nie umiała. Pamiętasz chyba, żem przed ślubem domagał się od ciebie, abyś się nie wtrącała do moich spraw urzędowych. Tymczasem stało się inaczej. Ponieważ wydawać się może, że i w dalszym ciągu przeszkadzać będziesz w moich sprawach, żyć z tobą dłużej nie chcę i nie chcę także tłumaczyć się z mojego postępowania. Pojedziesz na stałe do drugiego folwarku, a mnie nigdy nie zobaczysz.

— Stanie się — odpowiedziała, nie podnosząc głosu — wedle twojej woli. Myślę jednak, że skoro przeżyliśmy ze sobą wiele lat szczęśliwie, wypada nam się pożegnać bardziej uroczyście.

Sędzia zgodził się i niebawem sprosili wiele gości. Pani częstowała wszystkich i wszystkim dolewała wina, najwięcej jednak pamiętała o własnym mężu. Kiedy sędzia dobrze sobie podpił, to jej jeszcze rozkazał, żeby sobie zabrała z domu to, co jest dla niej najmilsze. Potem tak się uraczył wszystkimi mocnymi trunkami, że zupełnie stracił przytomność i leżał bezwładny. Pani która z nim piła na równi, mocniejszą miała głowę; kazała zaprząc do bryczki i zanieść do niej męża. A potem zawiozła go do drugiego folwarku. Służba ułożyła sędziego na pościeli, ona zaś usiadła obok i zajęła się szyciem.

Po pewnym czasie sędzia się obudził; spojrzał i zobaczył, że nie w swoim znajduje się pokoju. Rozgniewał się okropnie i zawołał:

— Gdzież ja jestem? Po coś mnie tutaj przywiozła?

Ona zaś odpowiedziała:

— Kazałeś mi zabrać ze sobą to, co najbardziej lubię, więc dlatego ciebie zabrałam, bo ciebie lubię najbardziej...

Wtedy sędzia uśmiechnął się i rzekł:

— Jesteś mądrzejsza ode mnie, nie będę mógł nigdy ci poradzić; więc wracamy do domu.

— Wracamy — powiedziała mądra pani — jednego się tylko domagam.

— Czego żądasz? Gotów jestem zgodzić się na wszystko.

— Proszę tylko o to, ażebyś był sędzią sprawiedliwym...

Wrócili i żyli ze sobą jeszcze długo i szczęśliwie.

Stanisław Dzikowski

JERZY BROSZKIEWICZ

KSZTAŁT MIŁOŚCI

Cóż wiesz o pięknem? Kształtem jest miłości

Cyprian K. Norwid („Promethidion")

14

Przedsenne marzenia są śmieszne i dziecinne. Bajdurzenia — właśnie: bajki. Miałeś lat pięć, czy cztery. Nie chciałeś usnąć. Przy łóżku siadały mama lub Zuska i gadały bajki. Dziś nikt ci ich nie opowie, więc gdy nie możesz usnąć opowiadasz sobie sam historie, w których rządzą te same prawa fizyki, prawdopodobieństwa i wyobraźni, co w tamtych opowieściach.

Należy jednak w sposób jak najbardziej rzeczowy i trzeźwy wytłumaczyć sprawę oklasków. Jest to sprawa godna uwagi — może i szacunku. Powie ktoś, że najgorętsze brawa zbiera tresowany pudel. Zgoda — wielki, epokowy, jak mówią, aktor też zbiera czasem brawa na zasadzie tresowanego pudla: mizdrzy się do publiczności, szuka sobie ról do gierek, pod brawa właśnie, nie dba o sztukę tylko o sztuczki. Zdarza się tak smutnie nie raz. Wielki artysta upija się czasem oklaskami, czasami nawet wpada w nałóg. Wtedy kończą się wielkość, artyzm, zostaje tresowany pudel.

Tu jednak mowa o innym rodzaju i rodowodzie oklasków. Oklaski na cześć pudla wywodzą się z rzymskiego cyrku, w którym zachwyt wzbudzali: tępy siłacz, lub zwinny morderca — no, a dzięki ewolucji prawnego kodeksu gladiatorów wyparły w końcu pudle. Natomiast oklaski, o których myśli Fryderyk wywodzą się z greckiego amfiteatru — tam zachwyt wzbudzali poeci i pieśniarze.

A więc tak — tęsknota za oklaskami może mieć sens uczciwy, godny szacunku. Jest to tęsknota za odbitą falą wzruszenia. Artysta pochylony nad klawiaturą przeżywa swe wzruszenie po to, by podać je sercom i umysłom słuchaczy. Pragnie, by stało się dla nich równie pełnym i wielkim przeżyciem, jakim jest dla niego. To też, wstając powoli i ze zmęczeniem od swego instrumentu, czeka na odzew — na powrotną falę swych wzruszeń. Czy ogarnie go owa fala tak szczelnie, jak pragnął, by jego sztuka ogarnęła serca tych ludzi? Po ostatniej chwili ciszy pada odpowiedź dobra lub zła.

Oklaski, które się marzą wieczorami, przed snem, są godne szacunku. Kwiaty, szarfy, ordery i kobiety — oto szczegóły przedsennych bajek, które rodzi po trosze pokojowa duma, po trosze romantyczność, po trosze młodzieńcza pycha. Każda jednak bajka zawiera mniej lub więcej szlachetny morał. Należy z całą stanowczością stwierdzić, że sprawa oklasków może być tym razem uznana za morał szlachetny.

•

Wydawało się, że tegoroczny karnawał, karnawał roku 1829 rozpocznie się pod znakiem zębów. Pojawił się nawet problem — rwać, czy nie rwać. Na szczęście ktoś wpadł na szczęśliwy pomysł płukania szałwią i stosowania okładów z lodu. Ząb, którego nawet językiem nie dotknij — a cóż dopiero cęgami felczera — uspokoił się. Lekka opuchlizna zeszła. Minęło, przepadło razem z noworoczną odwilżą.

W styczniu Warszawa zapomina o wszystkim. Fryderykowi pierwsze dni hucznego miesiąca popsuł ząb, zabawowiczom nie popsuła ich nawet odwilż. Sanna nie udawała się, udawały się za to fety i bale. Gdy zaś spadł świeży śnieg a mróz zaskrzypiał pod stopami, — miasto rozdzwoniło się sanną, jak wypada wesołemu miastu w karnawałowych miesiącach. Od samego rana szły głównymi ulicami najpiękniejsze zaprzęgi — wionęło od nich końską parą, miodem, winem i zabawą, z której wraca się wprost na śniadanie.

Styczeń — miesiąc zabaw, mniej lub więcej hucznych, publicznych lub prywatnych. Składa się zaś tak, że do obfitego kalendarza balów dochodzi jeszcze kalendarz przyjacielskich lub znajomych imienin: Eugeniusza, Wilhelma, Seweryna, Agatona, Lucjana, Sebastiana, Agnieszki panny, Antoniego... Wystarczy!

A zatem tak wypadło i tak się złożyło, że tegoroczny styczeń płynął tańcem i winem. Rytmom walców, galopad i mazurów odpowiadał rytm wysokich kielichów, mieniących się wszystkimi barwami tęczy: od tokaja po malagę i miody. Eugeniusz Małecki stawiał poncz — wytworny Antoni Odyniec szampana.

Dla pani Justyny dzień, w który Fryderyk po raz pierwszy w życiu wrócił nie opowiedziawszy się dopiero nad ranem i to w humorze zbyt różowo-złotym, był ciężkim przeżyciem. Pan Mikołaj jednak na żonine załamywanie rąk odpowiedział pobłażliwym uśmiechem: trudno żądać od młodzieńca, który ma już własny pokój, któremu wąs się sypie i czoło mężnieje, kleryckiej cnoty i powściągliwości. W efekcie po Eugeniuszu kawalerskie święta Lucjana Wołowskiego i Wilusia Kolberga, a szczególnie wilia imienin Antosia Odyńca odbyły się także pod dzielnym patronatem Bachusa. Spało się po nich do obiadu, lecz i tak przebudzeniom towarzyszyły migreny, dyshumory i niepewne wspomnienia. Na kawie jednak wracała wesołość wraz z ochotą do zabaw, gdy więc wypadł nowy termin — po kolacji następowało czyszczenie fraka oraz odświeżanie pantalonów, czyli kiulotków. Mama wysłuchawszy kilku czułych słów z westchnieniem porzucała gderanie, więc tylko siostry dąsały się — oczywiście: z zazdrości.

Jak wiadomo wino sprzyja muzyce. Fraza liryczna wzrusza do łez, a patetyczny okres napina serca niczem cięciwy. Toteż już po pierwszych rzuconych w kąt korkach butelek klawisze i palce Fryderyka szły w ruch. Improwizacja za improwizacją. Po Fryderyku Maurycy wściekle bębnił swe chromatyczne i chaotyczne fantazje, po Maurycym Fontana — po Juliuszu znowu kolej na Fryderyka. Gdy Fryderyk wracał do instrumentu, wrzawa cichła, gdyż nic tak nie sprzyja muzycznej wrażliwości i wyobraźni, jak wino — u Odyńca, w pałacu Zamoyskich, sam świt dopędził Fryderyka kończącą improwizację nokturnową frazą. A choć Witwicki po to ukrył twarz w dłonie, by lepiej... spać, a Małecki, wsparłszy policzek o poręcz fotela i śmiesznie dmuchając przez nos, całkiem otwarcie drzemał — to jednak wszyscy inni milczeli tak, jak się milczy w obliczu największej poezji. A Maurycy, oschły, zgryźliwy — wiadomo przecież, że i zawistny — Maurycy miał łzy w oczach. Chciał coś rzec. Machnął tylko jednak ręką — widocznie głos go zawiódł, więc machnąwszy po prostu podszedł do Fryderyka i po prostu ucałował go w oba policzki. Wargi mu drżały — powieki też.

Rok był romantyczny, gest był romantyczny, nie inna improwizacja Fryderyka. A w ogóle całe to przymierze muzyki z burgundem i odyńcowym szampanem też podszyto romantycznością — tyle, że romantycznością pośledniego raczej gatunku.

Okazało się bowiem, że nie należy ufać owemu przymierzu. Więcej — że należy nim gardzić.

Po improwizacji, co tak wzburzyła serca przyjaciół, Fryderyk od razu się pożegnał. Wydawało mu się, że w bałaganie i rozgardiaszu tej nocy udało mu się posłyszeć muzykę, którą już teraz, w tej chwili, trzeba rzucić na papier. Prosił, by go nie odprowadzano — chce być sam, wracając musi dobrze natężyć uwagę i pamięć, by nie pogubić po drodze tematów ani harmonii, które czuje jeszcze w sobie, którymi myśli i oddycha.

Z Bankowego placu na Krakowskie Przedmieście droga niedaleka. Ranny mróz ściął mgłę — powietrze drży, migocze szklanym pyłem, słońce odbija się w śniegu, w sopłach i szybach, w kościelnych wieżach i skrzydłach ptaków. Zabiedzony, buchający parą koń, woźnica brudny i siny z mroźnej drogi, człapią środkiem ulicy — pod płozą sanek mróz śpiewa niczem skrzypce. Tuż przed domem, w śniegu, pobiły się wróble.

Fryderyk poszedł prosto do siebie — „na górkę". Zadyszał się — od schodów ciągnie stęchłe zimno, trzecie piętro wysoko. Szczęściem na facjatce już napalono. Pokoik mały, więc ciepło, jak w bańce. Wydawałoby się, że do szczęścia niczego nie brak. Od razu zasiadł do fortepianu. Po kwadransie — na dole usłyszano muzykę — Zuska wniosła kawę, śmietankę, ciasto.

Owe dwie godziny, które spędził nad klawiaturą, przypomną się nie raz. Mniejsza o to, że nie zdały się na nic, że wstał z pustką w myślach, bólem głowy i złym zgryzieniem warg. Entuzjazm zmienił się w złość i gorycz, a z improwizacji idącej w setki taktów jeden czy dwa tematy, kilka ciekawszych modulacji, pomysłów rytmicznych i kilka pokreślonych lub podartych kart. Nie ważne jest jednak rozczarowanie — szczególnie ostry upadek z Parnasu młodzieńczej pychy. Ważny natomiast jest sens owego doświadczenia.

Przed trzema godzinami Fryderyk zakończył triumfalną codą wysoki lot swej improwizacji — w pokrywie instrumentu odbiło się najwcześniejsze słońce i blask raził oczy. Zdawało się, że to muzyka razi oczy swą wielkością. Teraz jednak znamy już całą prawdę: było to tylko złudzenie — dziecko wina, młodzieńczej i winnej egzaltacji, rozbudzonej nocną zabawą i gadaniną pychy. Nie wytrzymało krytyki dnia, ani krytyki trzeźwego myślenia.

Pora więc na wnioski.

A zatem: nie wolno ufać przymierzu muzyki z winem. To mało! Nie wolno także ufać improwizacji. Każda improwizacja ma w sobie coś z pijaństwa, coś z alkoholizowania się doraźną, efektowną chwilą. Prawdą jest, że takie minuty i kwadranse przyciągają swym nastrojem muzykę, podobnie jak księżyc za sprawą magnetyzmu dyryguje przypływem mórz. I można się zgodzić z tą tezą, że każda improwizacja przyniesie w końcu na fali wzruszenia jakąś myśl konkretną — temat, za którym się tęskniło, czy ideę, której brakło. Natomiast nie wolno ufać entuzjazmowi słuchaczy i sądzić, że oto dokonuje się pełne, doskonałe dzieło sztuki. Tak — nie wolno!

Słuchacze poddają się pięknym urokom chwili. Oto one — rembrandtowskie cienie i własna fantazja, ciekawość, romantyczna moda na natchnienie (takie niby łatwe i odręczne) i romantyczna moda na doszukiwanie się w byle kim bożej iskry. Bardzo cieszy i mile satysfakcjonuje zachwyt przyjaciół — sam Maurycy miał oczy pełne łez. Ale...

Ale w procesie twórczym nie ma miejsca ani na cudze doraźne uśmiechy, ani na cudze łzy zachwytu. Obowiązuje tu jasna świadomość własnej idei i najuczciwsza, oszczędna, surowa praca nad ujęciem owej idei w formę najwłaściwszą — czyli ostateczną — czyli jedyną.

Improwizacja jest w modzie. Każdy koncertant na zakończenie występu prezentuje publiczności jurność lub poezję swego natchnienia. Na zadany temat układa kantylenę, akordy, pasaże, — w ten niby sposób legitymując swój odręczny artyzm. Fryderyk dobrze wie, ile w tych „kompozycjach" prawdziwej sztuki — ile prawdy. Już mały Frycek „improwizował" na takich i siakich salonach ile wlazło, pod akompaniament ochów i achów dam: ileż „w malcu", potem „w chłopcu", wreszcie „w młodzieńcu" natchnienia! A właśnie, że nieprawda! Takie koncertowe, na zadany temat improwizacje to tylko sprawa rutyny, zręczności i sprytu. Tresowane pudle przypominają się — nie natchnienie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

JERZY K. MIKKE

Tajemnica bojkotu Słowackiego

Właściwy sens tegorocznego jubileuszu

(fragment większej całości)

Każdego, kto poznał życie i twórczość autora „Beniowskiego", zdumiewać dzisiaj musi atmosfera niezrozumienia i stałej samotności, w jakiej danym mu było pisać, działać i kochać. Słowacki był nie tylko poetą niedocenionym przez współczesnych, lecz co więcej—jego poezji i wystąpień nie brano nawet na serio.

Jest to tym dziwniejsze, że jego pokolenie emigracyjne, pomimo różnych wad i obciążeń przeszłości, stanowiło elitę umysłową Polski, ba, więcej — lata pobytu w Paryżu ułatwiły emigracji włączenie się do największych nurtów kultury europejskiej.

Czemu więc to pokolenie, które czciło Hegla, upajało się Goethem, któremu nie obcy był Byron i rewolucyjne koncepcje Fouriera, — pokolenie wielbiące Chopina i Mickiewicza, nie chciało równocześnie zrozumieć Słowackiego?

Argument trudności jego języka jest nieprzekonywający, jeśli się zważy, że autor „Zborowskiego" napisał jednocześnie arcydzieła tak proste, jak „Ojciec zadżumionych" i tak ludzkie, jak „Beniowski" czy „Fantazy". Znacznie wiarygodniejszym wyjaśnieniem jest argument krytyki i pasji demaskowania, jaka ponosiła Słowackiego za każdym razem, gdy usiłował on zająć stanowisko wobec emigracji i współczesności. Ale i ten nie tłumaczy wszystkiego.

Wprawdzie właściwa Polakom megalomania narodowa nigdy nie brała za dobrą monetę niczyjego, choćby z miłością dokonywanego rachunku sumienia z rodakami, — lecz przecież gorzkich oskarżeń nie szczędził im ani Staszic, ani Mickiewicz, ani Lelewel.

Również radykalizm społeczny i nowatorstwo Słowackiego, choć było zjawiskiem rzadkim, nie było niespotykane.

Tajemnica bojkotu Słowackiego tkwi w jego złożonej organizacji psychicznej, która powoduje nagłe przerzuty i zygzakowatość linii rozwojowych jego myśli. Ta łatwość, z jaką przechodził z jednej ostateczności w drugą powoduje, że wszyscy mieli do niego pretensje. Romantycy — za to, że ich porzucił, Towiańczycy widzieli w nim realistę, realiści — mistyka, demokraci — wielbiciela przeszłości, sarmaci — czerwonego radykała, katolicy — antypapistę. Raz mu się zarzucało brak treści, raz buntowniczość myśli. Nie można było przykleić do niego żadnej etykietki, zarejestrować w tej, czy innej koterii politycznej, szkole poetyckiej, przynależności towarzyskiej i religijnej.

Brak etykietki stanowił i nadal stanowi w oczach społeczeństwa, które „pawiem narodów było i papugą" grzech nie do darowania. I co najdziwniejsze, że wszyscy, aczkolwiek między sobą skłóceni, mieli rację; nikt go do swego grona ani przyjąć chciał, ani mógł liczyć na dłuższą jego wierność wobec danego programu czy otoczenia.

Tej sprzeczności w charakterze Słowackiego sprzyjała jego struktura psychiczna, sprzyjały tradycje wychowania domowego — wreszcie gruźlica. Ale ponadto cechy te były również wynikiem pozycji materialnej poety, która zapewniając mu całkowitą niezależność wobec wszystkich — nie narażała go na potrzebę kompromisu.

Trzeba przy tym pamiętać, że Słowacki był czułym na wszelkie doznania artystą, o niezwykle silnym napięciu przeżywania i potrzebie ciągłych poszukiwań. Do każdej postawy dochodził poprzez mękę twórczą, ale odchodził od niej łatwo, gdy hierachia wartości bądź to artystycznych, bądź filozoficznych załamywała się w nim na korzyść innych wartości. Wobec stałej ewolucji w żadnym kierunku pomieścić się nie mógł. Wszędzie mu było duszno.

Ustawiczny konflikt między mistycznym a realistycznym widzeniem życia staje się niewyczerpanym źródłem sił twórczych Słowackiego. Nie jest on bez wpływu na sytuację społeczną poety, która powoduje, że nie był związany ani ze szlachtą, ani z mieszczaństwem.

Słowacki był inteligentem i to inteligentem zbuntowanym. Walczył z ginącą Polską sarmacką, lecz z równą siłą protestował przeciw zwycięskiej na Zachodzie burżuazji, która w tych latach zdradziła cynicznie hasła wielkiej rewolucji, służące jej jedynie jako narzędzie do objęcia władzy przed 50 laty. Lud zaś, w którego imieniu tak często występował poeta, nie posiadał jeszcze świadomości klasowej, był pozbawiony organizacji politycznej, związków zawodowych i szkół, — kierował się tylko instynktem i wiarą. Rozumiał czego nie chce, nie wiedział, czego chce. W takim układzie sił nie było miejsca dla Słowackiego, Stąd nieustanna samotność. Stąd ciągły niedosyt życiowy, stąd brak przyjaciół...

OKRES MŁODEJ POLSKI

Kiedy w kilkadziesiąt lat później „odkryła" Słowackiego Młoda Polska, pasując go na równego Mickiewiczowi, czy większego od niego poetę, było to podobnie paradoksalnym nieporozumieniem.

Mieszczańscy synowie, wrodzy swojemu światu, ale i obcy wszelkim dążeniom ludowym — dekadenci, w romantyzmie dojrzeli tylko bunt zaginionej jednostki, która w ucieczce od życia w krainę fantazji ratowała swoją ludzką godność. To co w romantyzmie było pozorem, pojmować poczęto, jako jego treść, istotę. W poezji romantycznej wielbiono piękno, dziwność, niepowtarzalność, nie rozumiejąc powiązań tych przeżyć z życiem, z epoką, w której tworzyli poeci romantyczni.

Podobne stanowisko wyraża, jak wiemy, Słowacki w swoim okresie młodzieńczym. Jeśli je poddał wkrótce gruntownej rewizji, dowodziło to nie tylko miary jego talentu. Wyrażało to również wartość przemian dziejowych, jakie niósł ze sobą romantyzm lat dwudziestych i trzydziestych minionego stulecia.

Teraz, przy końcu wieku rozkład ideowo-moralny mieszczaństwa nie mógł już zrodzić innego programu wśród najszlachetniejszych przedstawicieli tej klasy, jak program dezercji życiowej, jak postawa katastroficzna. Nie mógł przyjąć innej doktryny, jak doktryna samotnictwa uznająca dumne „ja" Młodej Polski za jedyną rzeczywistość, a wszystko poza nią — za złudzenie.

Wobec podobnej deformacji pojęć o wielkich romantykach nie trudno zrozumieć popularność Słowackiego dochodzącą w pewnych kołach literackiej bohemy młodopolskiej do rozmiarów kultu. Któż inny, jak nie on właśnie, niezrównany mistrz słowa, samotnik wojujący z otoczeniem, esteta i artysta w każdym calu, mistyk piękna, stać się miał modelowym wprost wzorem dla burżuazyjnych egocentryków fin-de-siecle'u?

Nie trzeba dodawać, że źródła tego kultu były fałszywe. Pomimo to Młoda Polska wyświadczyła Słowackiemu niezmierną przysługę. Zachwycając się nim jako artystą, poczęto go po prostu czytać.

LATA MIĘDZYWOJENNE

Kiedy zwłoki Słowackiego, sprowadzone w kilkadziesiąt lat po bankructwie ideowym Młodej Polski, wieziono w triumfie na Wawel, uznano już w nim nie tylko genialnego poetę, ale i wieszcza narodowego, który życie całe poświęcił Polsce.

Obok artysty stanął wówczas w świadomości ogółu człowiek szlachetny; obok dramaturga i twórcy narodowego teatru, stanął patriota i wychowawca społeczeństwa. Lecz mimo tak wielu przymiotników i określeń, jakimi go obdarzano w okresie drugiej Rzeczpospolitej, nie chciano dostrzec tylko jednego, że Słowacki był również pierwszym piewcą mocy polskiego ludu.

W ocenie ideologicznej wielbiono w nim teraz autora „Króla Ducha" i „Kordiana", chlubiono się mistycyzmem „Zborowskiego", analizowano z uniesieniem „Genezis", tuszując przy tym, o ile to możliwe, rewolucyjne akordy pieśni „Beniowskiego" i „Odpowiedzi na Psalmy".

Etykietkę „romantyk" (tym razem we właściwym ideologicznym znaczeniu) i „mistyk", w zależności od okresu jego twórczości, odczytano teraz zgodnym chórem uczonych, nie obawiając się z jego strony nieoczekiwanych wystąpień, którymi zwykł zaskakiwać sobie współczesnych. Etykietki te, aczkolwiek prawdziwe, zawierały tylko część prawdy.

SENS TEGOROCZNEGO JUBILEUSZU

W roku 1949 podobny stosunek do Słowackiego wymaga korekty tam, gdzie pomieszano pozór z istotą, a uzupełnień w tych punktach, gdzie uświęcona była ongiś zasada przemilczeń. Potrzeba ta nie wynika z tendencyjnych dążności dopasowania Słowackiego do koniunkturalnych względów politycznych. Potrzeba ta nie jest zamierzeniem mechanicznego przeobrażenia faktów, czy wygodnej interpretacji tekstów jego dzieł. Przeciwnie, jest aktem sprawiedliwości, należnym pamięci wieszcza narodowego, który przez całe życie domagał się daremnie od swoich rodaków szuki owocnego myślenia i szczerości wewnętrznej.

Gdybyśmy nadal widzieli w Słowackim tylko romantyka i tylko mistyka, zapominając, że był on również demokratą i realistą, — sprzeniewierzylibyśmy się tym nakazom, które on stawiał współczesnym. Potrzeba nowego spojrzenia na Słowackiego nie jest zatem konsekwencją postulatów propagandowych, lecz zgodności z prawdą.

Ale ponadto nie ulega wątpliwości, że potrzebę tę zrodziły przeżycia naszych czasów. Wrzesień, okupacja, powstanie z jednej strony, 5-letni okres pierwszej w Polsce rewolucji z drugiej, oto niewymierny w doznaniu ogrom czasu leżącego poza światem dawnych przedwojennych naszych pojęć o sztuce, o narodzie, o człowieku. To, czego nie byliśmy w stanie zrozumieć należycie dawniej, obecnie wydaje nam się przeraźliwie jasne i proste. To, co wielbiliśmy wczoraj, jakże często najzupełniej szczerze i gorąco potępiamy dziś. Nie ma nieomal ani jednego pojęcia, ani jednego zjawiska, któremu przyglądalibyśmy się z tym samym uczuciem teraz, jak przed dziesięciu laty, które ostałoby się nietknięte trudną próbą naszego czasu i naszych doświadczeń.

Jest zatem najzupełniej oczywiste, że razem ze zmianą naszych poglądów na zadania kultury, zmienić się musiał nasz pogląd na zjawisko tak fenomenalnie różnorodne w poezji polskiej, jak Juliusz Słowacki.

Nie ulega również wątpliwości, że gdyby Słowacki był tylko wielkim poetą, tylko autorem arcydzieł tak apolitycznych, jak „Ojciec zadżumionych" i „Balladyna"—Polska Ludowa, nawiązując a tak chętnie do zdrowych źródeł tradycyj kulturalnych naszej przeszłości, uczciłaby jego stuletnią rocznicę zgonu w sposób i tak należyty.

Uczyniłaby to również, gdyby Słowacki napisał to wszystko co stanowiło już dawniej uznawany powszechnie jego dorobek, a nie napisał „Beniowskiego", „Odpowiedzi" i pomnieszych rewolucyjnych utworów. Nie mogłaby bowiem, głosząc upowszechnienie kultury, przejść obojętnie obok poezji, w której, jak w żadnej innej — właśnie na drodze kontrastów i sprzeczności — wyraża się niepokój ustawicznych poszukiwań i potężny trud zmierzający do osiągnięcia zbieżności słowa z czynem, życia z ideą.

Jego język poetycki, którym wzbogacił bardziej, niż Mickiewicz słownictwo polskie, zadziwia niezwykłą złożonością i szarpaniną duchową. Rozpusta słowa graniczyła z rzadką w literaturze zwięzłością, igraszka rymu z posągowym spokojem, niesamowitość opisów i loty podniebne z wspaniałością prostoty.

Równie oszałamiające jest bogactwo twórcze tej poezji. Cała historia różnych epok i narodów zostaje wskrzeszona jego piórem: Włochy renesansu, wyrafinowane i okrutne, Grecja Leonidasa, Anglia Stuartów i Tudorów, Polska Lecna i Bolesławów poprzez czasy potopu, Targowicy, aż do chwil ostatnich. Pałace i dworki, uroczyska Ukrainy i pustynie Nilu, piekło i niebo, geografia świata i kosmos cały zawarł się w jego poezji. j

Tyle o wielkim poecie i twórcy polskiego dramatu. Oto wystarczające tytuły do jubileuszu stulecia jego śmierci, jako artysty i Polaka.

Ale miarą prawdziwie wielkiej sztuki jest jej humanizm i postępowość.

Dlatego wydaje się niemożliwe, aby genialny artysta nie wyrażał przeczuć i dążeń ludu, by nie piętnował jego krzywdy społecznej i zrezygnował z walki o sprawiedliwość i godność człowieka.

Słowacki z „Beniowskiego" i „Odpowiedzi" na tle takiej oceny rozpatrywany jeszcze bardziej potężnieje w naszych oczach i jako człowiek i jako Polak.

Całe jego życie było buntem i walką. Był człowiekiem czynu, bo siebie i swiat chciał uczynić lepszym. Nawet w mistycznych olśnieniach dostrzegał ziemię i gdy trzeba było, umiał na nią powrócić. Poezja jego, choć osadzona głęboko w środowisku wychodźstwa szydziła zeń, demaskując kołtunerię szlachty, lecz jednocześnie z wiarą i miłością spoglądała w przyszłość polskiego ludu. Ten wielki obrazoburca, który nie oszczędził ostrzem swego pióra żadnego z uznanych autorytetów, — lud uczynił „tabu" dla swojej ironii. Nie wierząc w swoje pokolenie i swoje środowisko, wierzył w chłopa i robotnika. To była obok Boga największa wiara jego życia.

Słowacki nie był politykiem choć pragnął nim być. Był za to poetą politycznym, jak to ktoś trafnie określił. To znaczy, że to co wyznawał, wyznawał w świetnych, fascynujących rymach.

Wyzwolenie człowieka i narodu stało się jego programem politycznym. By urealnić słowo — pojechał do Poznania.

Miał prawo z dumą wówczas powiedzieć o sobie, że jest republikaninem nie tylko z ducha, lecz z ciała, a republikanin w owych czasach był niemal zawsze synonimem rewolucjonisty. Nie zrozumiano go wtedy tak, jak tego pragnął.

Ale czasy, które nadchodziły po jego śmierci okazały się bliższe poezji autora „Beniowskiego". Polska, która wyszła mu naprzeciw przed dwudziestu laty ujawniła ogrom tej „siły fatalnej", którą promieniować zaczął spoza grobu. Polska, która czci go dziś, jest mu nieporównanie bliższą.

Czas ten pracuje nadal dla poety. Jest sprzymierzeńcem jego proroczych przepowiedni, które coraz lepiej i coraz pełniej zostają urzeczywistniane w naszych czasach, — czasach wielkiego dziejowego przełomu.

Jerzy K. Mikke

Dr PAMFIL

AWANTURA O NAGRODĘ

Wypadek, o którym opowiem należy do rzędu zjawisk literackich i dlatego słuszne będzie, jeżeli ten artykuł ukaże się w „Odrodzeniu". Jak zobaczymy jednak, w wypadek ten wplątane są liczne zjawiska dość odległe od literatury, a miejsce akcji rozszerzy się stopniowo ze Stanów Zjednoczonych na Niemcy, Szwajcarię, Anglię i Włochy.

Zaostrzywszy w ten sposób ciekawość czytelnika, zaczynajmy.

W stolicy Stanów Zjednoczonych, w mieście Washington D.C. — litery te są skrótem dla oznaczenia District of Columbia — jest wielka biblioteka państwowa, zwana Biblioteką Kongresu. Biblioteka ta udziela co roku stypendium jednemu poecie, czy też angażuje jednego poetę na doradcę w sprawach poetyckich, co wychodzi zresztą na to samo. Jest to wielki honor dla tak wybranego poety. Poza tym biblioteka otrzymała specjalną dotację od pewnego finansowego potentata dla ufundowania nagrody za najlepszy tom wierszy, jaki ukazał się w ciągu roku. Nagroda ta nosi nazwę „Bollingen Prize". Według statutu jury składa się z poetów, którzy przez rok sprawowali funkcje doradcy poetyckiego Biblioteki. W styczniu 1949 dyrektor Biblioteki powołał jury w składzie: T. S. Eliot, W. H. Auden, Karl Shapiro, Robert Lowell, Allen Tate, Leonie Adams. Dla informacji — odnotujmy, że są to czołowe nazwiska poetyckie w poezji krajów anglosaskich. Odnotujmy też, że wśród nich jedno należy do poety, który nie jest obywatelem amerykańskim — laureat Nobla T. S. Eliot, jakkolwiek urodzony w Ameryce dawno już zrzekł się obywatelstwa amerykańskiego, przyjmując brytyjskie. Jedno nazwisko należy do Brytyjczyka, który przybył do Stanów w czasie ostatniej wojny i tutaj się naturalizował — to W. H. Auden.

Jury po naradach postanowiło przyznać nagrodę poecie Ezra Pound za tom „Pisan Cantos" wydany w r. 1948. Kto to jest Ezra Pound? Jest to stary poeta, należący do pokolenia „ekspatriantów" tj. tych pisarzy amerykańskich, którzy w okolicach pierwszej wojny światowej uciekali z Ameryki do Europy, rozbijając swoje obozy w Paryżu, Londynie i we Włoszech. Gardząc swoim „chamskim krajem" znajdowali pomyślniejszą atmosferę w kawiarniach Montparnassu. Ezra Pound był duchowym akuszerem licznych ekspatriowanych amerykańskich pisarzy, a samej Ameryki unikał. Jego poematy, poczęte z ducha średniowiecza plus skrajna awangarda odznaczają się na ogół tym, że, jak ktoś w Ameryce powiedział, są w 98% niezrozumiałe i w 2% czarujące. Kiedy wybuchła druga wojna światowa Pound mieszkał we Włoszech. Mieszkał tam również, kiedy Ameryka przystąpiła do wojny. Miał sympatię dla Mussoliniego. W rozmowach pienił się na żydowsko-plutokratyczną Amerykę. Więc kiedyś ktoś z faszystowskich urzędników wpadł na pomysł i zaproponował, że może by mistrz to samo powiedział publicznie? Po angielsku, przez radio. Pound bardzo chętnie się zgodził i zaczął się systematycznie pienić przez radio na Żydów i plutokratów, na Roosevelta, na tych, którzy kupczą krwią amerykańską, wciągnąwszy Stany Zjednoczone podstępnie do wojny. Działo się to wtedy, kiedy za plecami subtelnego estety dzień i noc pracowały krematoryjne piece. Kiedy wojska amerykańskie zajęły Włochy, Pound został uwięziony w obozie dla wojennych przestępców w Pizie. Tam to napisał tom wierszy, za który otrzymał w r. 1949 nagrodę — stąd tytuł — „Pisan Cantos". Przewieziony do Ameryki miał stanąć przed sądem. Groziła mu kara śmierci. Wpływy przyjaciół były jednak dostatecznie silne, aby został uznany za niepoczytalnego i umieszczony w zakładzie dla obłąkanych w Waszyngtonie. Mieszka tam wygodnie, przyjmując wizyty licznych wielbicieli jego talentu, pisząc i wydając.

Jury zaopatrzyło swoją decyzję w obszerną motywację. Motywacja ta głosiła, że wszelka prawdziwa cywilizacja opiera się na dokładnym rozróżnieniu wartości i że ocena postępowania Pounda nie powinna w żadnym wypadku wpływać na ocenę estetycznych wartości jego dzieła. Według jurorów należy walczyć z tendencją do oceniania dzieł zależnie od moralnej czy politycznej poprawności ich autorów. Jeden z jurorów zgłosił votum separatum. Był to poeta Karl Shapiro, który uzasadnił swój sprzeciw w ten sposób: nie można odrywać oceny estetycznej od oceny moralnej — brak porządku moralnego u twórcy musi siłą oceny wyrazić się *w skłóceniu* formy, co zaszło u Ezry Pounda. W czym Shapiro miał niewątpliwie rację, bo poematy Pounda są nieartykułowanym pienieniem się na cały świat, ślepym anarchizmem, rozsadzającym najbardziej nawet szeroko ujęte ramy stylu.

Tak więc nagroda została przyznana. Fakt, że przypadła zdrajcy, względnie obłąkanemu dostarczył dziennikom krótkotrwałej sensacji. Za nagrodą stała jednak powaga Biblioteki Kongresu, któż zresztą będzie troszczył się o literaturę wśród ryczącej reklamy elektrycznych lodówek, nowych typów samochodów i aparatów telewizyjnych? W nowojorskich kołach intelektualnych rozpoczęły się jednak głuche pomruki. Sprawę podniesiono na Kongresie Pokoju w New Yorku, który odbył się w końcu marca. Zaczęły pojawiać się artykuły, otwarte listy do jurorów, odpowiedzi jurorów itd., nie bez tego, że jeden z jurorów, Allen Tate, który pochodzi z rycerskiego Południa, dał do zrozumienia jednemu z redaktorów, że gotów jest udzielić satysfakcji z bronią w ręku (czym redaktor ów, był raczej zakłopotany). Tak powoli, powoli napięcie rosło, aż ukazała się w „Seturday Review of Lietrature" seria artykułów poety Roberta Hillyera. Była to wściekła napaść na nagrodę i tu rozpętało się piekło, bo redakcja zaczęła otrzymywać tysiące listów popierających Hillyera i wyrażających się o nagrodzie w sposób jak najmniej pochlebny.

Jakież fakty wykazali atakujący? Oto one:

1. Jurorzy byli kilkakrotnie zapytywani, dlaczego nagroda nosi nazwę „Bollingen Prize". Czy została tak nazwana żeby uczcić jakiegoś pana Bollingena? Żaden z jurorów nie umiał udzielić na to odpowiedzi. Po prostu nie wiedzieli, że Bollingen jest to nazwa miejscowości w Szwajcarii, gdzie ma siedzibę słynny przedstawiciel „psychologii głębinowej" dr Jung. Dr Jung, jakkolwiek Szwajcar, sprawował liczne godności naukowe w Niemczech hitlerowskich i był persona grata reżimu, w tym samym czasie kiedy liczni psychologowie niemieccy poszli na wygnanie, albo znaleźli się w obozach, w tym samym czasie, kiedy siostra Zygmunta Freuda zginęła w komorze gazowej Treblinki. Nagrodę ufundował jeden z kilku największych miliarderów amerykańskich, Mellon, serdeczny przyjaciel Junga, a nazwał ją „Bollingen Prize" chcąc w ten sposób utrwalić pamięć o miejscu, gdzie pędzi życie genialny teoretyk instynktu i zbiorowej podświadomości, rzekomo rządzącej życiem ludzkich społeczeństw. Czyż nie jest zastanawiające, że nagroda tak i z taką intencją nazwana przypadła właśnie takiemu poecie jak Pound? (Nb. z zasiłku Mellona ukazują się w Stanach wspaniale drukowane wydawnictwa artystyczne, poetyckie i filozoficzne w tzw. „Bollingen Series").
2. Uważna lektura nagrodzonego tomu, po przebrnięciu przez gmatwaninę obrazów, których jakakolwiek więź logiczna jest zatarta, wykazuje, że treść poematów nie odbiega daleko od treści przemówień Pounda przez rzymskie radio. Liczne zwroty antysemickie, wymyślania na udział Ameryki w wojnie etc. świadczą o tym wyraźnie.
3. Biblioteka Kongresu udzieliła swojej powagi nagrodzie, o której decydowało jury dobrane dość dziwnie: najsławniejszy w tym gronie poeta nie był obywatelem amerykańskim. Biorąc pod uwagę niesłychany autorytet, jakim cieszy się T. S. Eliot wśród poetów amerykańskich, można przypuszczać, że jego zdanie przeważyło.

Plotka nowojorska głosi, że całą nagrodę dla Pounda nakręcił Eliot, związany z Poundem kilkoma dziesiątkami lat przyjaźni. Nagroda miała być dla Pounda pociechą za przykrości, jakich doznał w postaci uwięzienia i osadzenia później w domu wariatów.

Tak więc atak na nagrodę przekształcił się w atak na dyktaturę, jaką sprawuje T. S. Eliot (mieszkający stale w Londynie) nad poezją amerykańską. Dyktatura ta, trwająca już ze dwa dziesiątki lat posługuje się terrorem bardzo wyrafinowanego smaku, tj. zostały zarówno poezji jak krytyce poetyckiej postawione tak wysokie progi, że całe młode pokolenie poetów i krytyków zadziera nogę żeby te progi przekroczyć, zadziera aż w niebo i przewraca się, tracąc równowagę. Innymi słowy mamy tutaj zjawisko życia społecznego, które łatwo obserwować w rozmowie kilkorga ludzi: ktoś, kto przemawia bardzo zawile i bardzo mądrymi słowami zmusza innych do mówienia podobnie, bo nikt nie chce się przyznać, że jest głupszy i nikt nie śmie wykrzyknąć „król jest nagi!" Poezja i krytyka amerykańska — mówią atakujący — zmieniła się pod wpływem T. S. Eliota w nieznośny żargon, zrozumiały tylko dla wtajemniczonych i to jest przyczyną, że szeroka publiczność została do poezji zniechęcona. Pora już — wołają atakujący — skończyć z taką poezją i taką krytyką dostępną tylko dla snobów. Wtedy takie wypadki jak nagrodzenie Pounda, którego wierszy żaden inteligentny czytelnik nie rozumie (jeżeli ma odwagę do tego się przyznać) — będą niemożliwe.

Trzeba tutaj wtrącić kilka słów o strukturze amerykańskiego życia kulturalnego. Przed wojną w Polsce istniał taki tygodnik „As", wydawany w Krakowie. Miał on dość szerokie koło zupełnie określonych odbiorców. Szanujący się pisarz uważałby jednak za hańbę drukować w „Asie". Dlaczego? Dlatego, że uważał się za coś lepszego, a ta „lepszość" była równoznaczna z przynależnością do pewnego intelektualnego klanu, odnoszącego się do drobnomieszczaństwa z niechęcią i lekceważeniem. Wyobraźmy sobie teraz zjawisko „Asa" podniesione do jakiejś gigantycznej, niespotykanej dotychczas w historii, potęgi i wyposażone w najnowsze zdobycze techniki. Radio, telewizja, film, ilustrowane pisma i w ogóle przygniatająca większość słowa drukowanego są sferą spotęgowanego „Asa", ich odbiorcy liczą się na dziesiątki milionów i te masowe środki porozumienia, których właścicielem i kierowcą jest wielki kapitał, głoszą specjalną „philosophy of life", tj. ideologię „middle-class". Ze środków technicznych literat amerykański, zachowujący się wobec tych „Asów" podobnie jak wobec swojego „Asa" zachowywał się literat polski, ma do rozporządzenia tylko znikomą część druku tj. pewną ilość nowojorskich firm wydawniczych i „małych magazynów" (przeważnie miesięczników). Być drukowanym to dla amerykańskiego literata wielka i trudna rzecz, którą osiąga się po latach wysiłków i ćwiczeń — konkurencja stwarza bardzo ścisłe wymagania techniki stylu. Stąd literatura jako zawód możliwa jest tylko dla małej garstki wielkich nazwisk i raczej nie istnieje typ pisarza — humanisty, który poświęcając cały czas na swoją pracę jest zarazem poetą, prozaikiem, tłumaczem, krytykiem itp. Najpospolitszym zawodem pisarza jest uczenie w college'u albo na uniwersytecie.

Akcja pokojowa po amerykańsku

Nie brak wypadków granicznych. „Middle-class" ma swoich pisarzy, którzy zaspakajają jej potrzeby. Poza tym dziennikarstwo służy za zaprawę licznym pisarzom, ta szkoła produkuje autorów, którzy, jakkolwiek ambicją sięgają do „Klanu", mają szanse, dzięki prostocie słowa, trafić do licznych czytelników. Tak znany pisarz jak Hemingway zaczął drukować w „małych magazynach", ale stopniowo zyskał względnie dużą poczytność (podczas gdy Faulkner pozostał pisarzem dla „wtajemniczonych").

Co stanowi granicę pomiędzy „middle-class" i „klanem"? Jest to linia pewnego wyrafinowania (pod tym względem patrz Proust). Wzorzec wyrafinowania tworzą uniwersytety, mało przypominające uniwersytety europejskiego kontynentu. Jest to coś w rodzaju klasztorów w sensie oderwania od otaczającego świata: campus uniwersyteckie, najczęściej na wsi albo w małym miasteczku, ma boiska, pływalnie, biblioteki, laboratoria, sale koncertowe, swój teatr (jedyny w Ameryce teatr eksperymentalny) — jednym słowem jest to mikrokosmos, w którym można żyć, nie wychylając nosa na zewnątrz. Jest w tym też coś z cieplarni. Uniwersytety (najczęściej fundowane i finansowane prywatnie, czego tajemnicą jest bardzo wysoki podatek progresywny od dochodów i zwolnienie od podatku sum użytych „na cele społeczne") — spełniają podwójną rolę. Przez uniwersytety przechodzi „upper — middle — class", a więc prawdziwi rządcy kraju. Z drugiej strony uniwersytety reprezentują „kulturę" jako przeciwieństwo poziomu, na jakim znajduje się „middle-class" i „intelektualny klan" jest z nimi tak czy inaczej związany (jakkolwiek klan składa się przeważnie z biedaków).

To, powiedziawszy, mam nadzieję, że rozjaśniłem trochę „casus Eliot". „Trudna" sztuka i hermetyczna krytyka stoją na straży „czystości umysłu", obracają się w bardzo górnych rejestrach. Ktoś może się ze mną nie zgodzić, ja jednak w nagrodzie Bollingen dopatruję się zasady arystokratycznej: to, że dr Jung był pro-hitlerowcem, to jest kategoria „tłumu", to że Pound działał przeciwko Ameryce, to również jest kategoria niezwykle „przyziemna" (tak rozumując można np. używać faszystów zachowując wobec nich pogardę jako do „tłumu" i do narzędzia). Mały klan intelektualny, w obrębie którego odbyła się ta burza w szklance wody, jest, bądź co bądź, pod silnym wpływem „upper — middle — class", czy wręcz „upper class" — i to przede wszystkim zdaje się być istotą dyktatury Elliota. Weźmy pod uwagę, że „górze" amerykańskiej nie można odmówić umysłowej kultury. Forrestal przed wyskoczeniem z okna czytał „Ajaksa" Sofoklesa. Podkreślił zdanie i skoczył. Ładne teatralne exit.

Bunt przeciwko „trudnej poezji", jaki w obecnej chwili kipi na łamach „Saturday Review of Literature" budzi pewne ciekawe myśli i potwierdza pewne spostrzeżenia. Trzeba tu rozróżnić atak na nagrodę, jaki wielu przypuściło z powodów politycznych, oskarżając jury o grę będącą wyrazem tendencyj faszystowskich — od entuzjastycznego odzewu czytelników wymyślających na poezję „mandarynów". Zresztą w samym ataku Roberta Hillyera było sporo szowinistycznej demagogii. Od dawna wałkuje się tutaj w „małych magazynach" zagadnienie „dorastania" drobnomieszczaństwa i niektórzy prorokują rozpłynięcie się „intelektualistów" w drobnomieszczaństwie. Prak-tycznie oznaczałoby eto, że sfera środków, jakie do rozporządzenia ma „klan" skurczy się jeszcze bardziej i wszechpotężny „As" ogarnie wszystko, z przejęciem pewnych łatwiejszych chwytów sztuki awangardowej (co dzieje się np. w malarstwie, gdzie sztuka abstrakcyjna rozpływa się w rysunek reklamowy, modele maszyn itp.).

Literatura w takim wypadku stałaby się łatwiejsza, „zdrowa", patriotyczna i szowinistyczna, zniknąłby bunt mieszczańskich synów przeciwko mieszczaństwu, względnie nabrałby on cech wyraźnie sprzyjających „dynamice narodu w marszu". Trudną sztukę spotkałoby to, co spotkało w Niemczech sztukę zwaną przez Hitlera „sztuką zdegenerowaną", czyli w skali szerszej powtórzyłby się wypadek Ezry Pounda: bywalec Montparnasse'u ocknąłby się przed mikrofonem.

Że podobny rozwój jest możliwy, łatwo się przekonać obserwując takie organizacje maszerującej miudleclass jak Ku-Klux-Klan, Legion Amerykański, związki weteranów, Rycerze Kolumba. Dość spojrzeć na twarze aby dojść do wniosku, że tym ludziom obce są jakiekolwiek granice wyszukanego smaku zakreślone przez mandarynów i że gotowi są rzucić na stos zarówno obrazy komunisty Picassa, jak książki arystokratycznego Eliota. W tym świetle nagroda Bollingen i wszczęta przy tej okazji walka z poetycką dyktaturą Eliota oraz jego naśladowców ukazują swoją wielowarstwowość.

Przy tej okazji warto przypomnieć słowa wypowiedziane przez pewnego młodego pisarza amerykańskiego w rozmowie: „Nie ma już Zachodu, dokąd każdy syn zrywający z rodziną mógł iść, robić pieniądze, zakładać dom i wysyłać dalej na Zachód swego syna. Nadal bóstwem jest sukces, ale nie ma już sposobu zdobycia sukcesu. Będzie coraz więcej zawiedzionych, a ci są materiałem faszyzmu. Cała nadzieja w tym, że nasza góra finansowa („upper-class") która rządzi, to ludzie kulturalnie wyrafinowani i nie dopuszczą do europejskiej formy faszyzmu".

W nazwie nagrody Bollingen i w jej przyznaniu można dopatrywać się tendencyj do utrzymania wartości „zawieszonych", rzecz dziwna, że wspartych lekko na takich postaciach jak dr Jung i Ezra Pound. Myślę, że byłoby dużym uproszczeniem twierdzić, iż te dwie postaci zostały tak uczczone z *powodu* ich politycznych sympatii. Nie, one zostały uczczone za ich dzieła — a w ich dziełach są zawarte *przesłanki* ich postępowania — i to jest grubo poważniejsze, tym poważniejsze, że dwaj z jurorów mogą być słusznie nazwani poetami-teologami — są to T. S. Eliot i W. H. Auden. Jeżeli więc ci mandaryni reprezentujący wyrafinowany smak, smak bynajmniej nie „Asa" i nie „middleclass" negują oburzenie moralne jako wartość „przyziemną", czy nie myli się młody amerykański pisarz oczekując od swojej „upper-class" położenia hamulców, tam, gdzie jest tylko gra o władzę i gdzie działają siły potężniejsze od „czystego intelektu". Co do przeciwników dyktatury literackiej mandarynów — nie będziemy tak pewni, że wyrażają oni tendencje postępu. Może to równie dobrze być głos potężnego „Asa", który jak wiadomo, nie cierpi mandarynatu i chce żeby krowa była zawsze namalowana jak żywa, a kanapa ozdobiona poduszkami z pieskiem. „As" naturalnie życzy sobie widzieć wartości estetyczne w ścisłej harmonii z moralnością. Obca jest mu postawa linoskoczków, jaką utrzymują mandaryni, udający, że nie widzą ziemi. Tak, ale harmonii z jaką moralnością? Z tą zapewne, która rozbrzmiewa z głośników pochwałą American philosophy of life.

Na zakończenie: wskutek skandalu, jaki wywołała nagroda, Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił zabronić Bibliotece Kongresu zajmowania się na przyszłość nagrodą Bollingen, która to nagroda w ten sposób przestała istnieć. Zdrowe bowiem amerykańskie zasady głoszą, że władze federalne nie powinny parać się dziedziną równie sporną jak literatura. Co jest zasadą mającą tę dobrą stronę, że nie przysparza żadnych kosztów

Dr Pamfil

A. K. Jemolo laureatem nagrody „Viareggio"

A. K. Jemolo

Przed kilku dniami zakończyło swe prace jury najpoważniejszej włoskiej nagrody literackiej „Premio Viareggio". Nagrodę tę w roku bieżącym przyznano katolickiemu pisarzowi i historykowi Arturowi Karolowi Jemolo—za książkę pt. „Kościół i państwo we Włoszech w ciągu ostatnich stu lat".

Nagrodzenie książki Jemolo wywołało zdecydowanie nieprzychylny oddźwięk w całej oficjalnej prasie katolickiej Włoch. Niektóre dzienniki rządowe swój niechętny stosunek do laureata zaznaczyły w ten sposób, że fakt przyznania „Premio Viareggio" — będący najważniejszym dorocznym wydarzeniem kulturalnym we Włoszech — zbyły zaledwie kilkuwierszowymi wzmiankami informacyjnymi. Inne poddały surowej krytyce okoliczność, że największą nagrodę literacką Włoch przyznano nie literatowi — lecz pisarzowi naukowemu. Jednakże żaden z organów oficjalnej opinii katolickiej, dających zgodny wyraz swemu niezadowoleniu z tegorocznego orzeczenia jury nagrody Viareggio — nie ujawnił prawdziwej przyczyny tego niezadowolenia.

Prawdziwa przyczyna niezadowolenia tkwi w samej treści nagrodzonej książki. Przedmiotem dzieła „Kościół i państwo we Włoszech w ciągu ostatnich stu lat" jest sumienna i przenikliwa historyczna analiza szkodliwej roli, jaką odgrywał Watykan w polityce wewnętrznej i zewnętrznej państwa włoskiego — na przestrzeni ostatniego stulecia. W końcowych wnioskach książki, wyprowadzonych z bogatego i wszechstronnego materiału historycznego, Jemolo z nieznaną dotychczas wyrazistością demaskuje obecny udział Watykanu w tworzeniu nowego frontu faszystowskiego i w przygotowaniu katastrofy wojennej.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że fakt nagrodzenia takiej książki wielką nagrodą literacką musiał wywołać niezadowolenie w kołach Watykanu i — rządzącej dziś Włochami — Chrześcijańskiej Demokracji. Niezadowolenie byłoby mniejsze, gdyby autorem książki był pisarz komunistyczny, a jury „Premio Viareggio" składało się w większości z ludzi lewicy politycznej. Ale autorem książki „Kościół i państwo we Włoszech w ciągu ostatnich stu lat" jest Artur Karol Jemolo, pisarz katolicki, który jeszcze ostatnią swą publikacją na łamach czasopisma „Il Ponte" wykazał wyraźnie, że z lewicą nie łączy go nawet nić sympatii uczuciowej, — a w jury „Premio Viareggio" zasiadają ludzie, rekrutujący się w absolutnej większości z najwybitniejszych przedstawicieli kulturalnych mieszczańskiego centrum.

W tej sytuacji nagrodzenie książki „Kościół i państwo we Włoszech" zyskuje szczególną wymowę i słusznie może być uważane za wyraz protestu całego włoskiego świata kulturalnego przeciwko obecnej polityce Watykanu.

Carlo Bianchi

Grupa członków jury „Premio Viareggio": prof. Ambrogio Donini, Corrado De Vita, franciszkanin Piacido da Modena i Antonio Baldini

TO KULTURA!

Lektura prasy Stanów Zjednoczonych jest zajęciem wielce budującym. Wegetując w tej zacofanej, nudnej i zramolałej Europie człowiek nawet nie ma pojęcia o postępie, który pędzi w siedmiomilowych butach po czterdziestu dziewięciu stanach Ameryki Północnej. Aż wstyd cię ogarnia, gdy czytasz o dziwach i cudach, jakie dzieją się po drugiej stronie oceanu. Weźmy pierwszy z brzegu przykład: uniwersytety. Zapisze się u nas młodzieniec na uniwersytet i Boże świeć nad jego duszą. Utonie w pandektach, kronikach, foliałach, komentarzach, glossach, cyfrach i wykresach. Zmarnuje życie i niczego pożytecznego się nie nauczy. Inaczej jest w Stanach Zjednoczonych, gdzie wyższe uczelnie służą pożyteczniejszym celom. Kto nie wierzy, niech przeczyta notatkę w jednym z wrześniowych numerów „New York Times":

Niedawno temu — pisze wspomniana gazeta — odbyły się na uniwersytecie stanu Michigan niezwykłe zawody. Honor uniwersytetu reprezentował student Paul Smith, a w roli przeciwnika wystąpił cztery miesiące liczący prosiak.

Paul Smith postanowił zmierzyć się z prosiakiem w obżarstwie. Zawodnicy rozpoczęli zapasy przy pełnej widowni pod kontrolą kolegium sędziowskiego. Prosiak pochłaniał z przyjemnością chleb wymoczony w mleku. Jego przeciwnik połykał jeden kotlet po drugim, nie mówiąc już o ziemniakach. Sędziowie ważyli dokładnie potrawy, które zapaśnicy mieli zjadać, i rejestrowali rezultaty.

Gazeta nie podaje wyniku zawodów. Ale to nie jest ważne. Istotny jest fakt zmierzenia się przedstawiciela młodej inteligencji amerykańskiej z reprezentantem młodej nierogacizny. Co też sobie prosiak myślał o swoim przeciwniku, kolegium sędziowskim, widowni i władzach uniwersyteckich? Oto pytanie, które mnie gnębi jak zmora.

Nie jest w Ameryce tak dobrze, jakby się niektórym pilnym słuchaczom „Głosu Ameryki" na pozór wydawać mogło. Jest tam kilka milionów bezrobotnych, ceny idą w górę, od czasu do czasu (a nawet częściej) obrywa się Murzynom, nie mówiąc już o demokratach i innych „czerwonych". Nie wszyscy mieszkają w luksusowych willach — jak stwierdził senator Lodge, który obliczył, że 15 milionów Amerykanów zamieszkuje stęchłe i wilgotne nory. O tych sprawach rzadko kiedy pisze prasa amerykańska. I słusznie, są większe nieszczęścia, o których należy informować publiczność zgodnie z hierarchią potrzeb. Czymże bowiem jest kwestia nędzy, głodu i kryzysu wobec zmartwień miss Peggy Palmes, o których rozpisała się obszernie cała prasa amerykańska. Miss Peggy Palmes? Owszem, jest taka milionerka, mieszka w Croydon, ma pieska, rasowego pekińczyka i udziela chętnie wywiadów. Ostatni wywiad miss Palmes jest krótki, ale soczysty, treściwy i brzmi następująco:

Mój piesek zdobył ostatnio pierwszą nagrodę na konkursie pekińczyków. Jest to bardzo wybredne zwierzątko, które żywi się tylko kaczymi wątróbkami. Muszę sprowadzać dlań zamrożone wątróbki samolotem z Australii. Moje serce nie pozwala mi karmić „Rocky'ego" (tak się psina wabi) krajowymi wątróbkami, skoro australijskie smakują mu o wiele lepiej.

No i proszę. Wywrotowcy wciąż o walce klas, że kapitał, że wyzysk, brak serca, okrucieństwo przedsiębiorców i milionerów. Nieprawda. Jest serce i zmiłowanie. Nawet dla psów.

W poprzednim 38 (251) numerze „Odrodzenia": **Julian Stryjkowski:** Gino w Pietrarossa. — **Artur Sandauer:** Niebezpieczeństwa wulgaryzacji. — **Kazimierz Winkler:** Lotniczy list do Londynu. — **Marian Muszkat:** To także Niemcy. — **Zofia Karczewska - Markiewicz:** Przykład Romain Rollanda. — **Franciszek Fenikowski:** Odbudowa Kościoła Panny Marii we Wrocławiu. — **Jao Süejin** Niedowarzony. — **Jerzy Broszkiewicz:** (przełożył **Olgierd Wojtasiewicz**): Kształt miłości. — **Witold Rudziński:** Sprawa dla kultury muzycznej najważniejsza. — **Wojciech Natanson:** Świat Maupassanta. — **Stefania Podhorska - Okołów:** Pierwiosnki czy nieśmiertelniki? — **Wacław Sieradowski:** Zagadnienie Ziem Odzyskanych. — Nowości. — Mimochodem: **W. W.:** Spotkanie w Pradze. — Korespondencja: **Jerzy Auerbach:** Granice telefilmu; **Bolesław Skarżyński:** Jeszcze o Henningu Bergerze. — **len.:** Radziecki plakat polityczny. — **Józef Grabowski:** Barwiki dla tkactwa artystycznego. — Camera obscura. — 18 ilustracji. — 8 stron.

Warsztat wielkiego pisarza

Honoriusz Balzak. „Król cyganerii". Przełożył Tadeusz Boy-Żeleński. Warszawa, „Książka i Wiedza", 1949; str. 167 i 1 nl.

Na pogrzebie Balzaka (w r. 1850) jeden z ministrów szepnął do idącego obok Victora Hugo:

— Nieprawdaż? To był człowiek wybitny!

— Autor „Ruy Blasa" spojrzał z lekceważeniem na swego rozmowcę:

— Ależ, mój panie — stwierdził — Balzak to nie był człowiek wybitny, tylko g e n i u s z.

— Nie tylko orientujący się słabo w sprawach literackich dygnitarz, ale i każdy przeciętny czytelnik ówczesny musiałby być zaskoczony powiedzeniem Victora Hugo. Balzac uchodził wtedy za zręcznego, zabawnego, modnego, nieco igrającego ze skandalem romansopisarza. Był chętnie czytywany przez kobiety, miał spore nakłady, duży oddźwięk. Ale krytyka ówczesna nie brała go poważnie, a gdy Victor Hugo postawił kandydaturę twórcy „Komedii ludzkiej" do Akademii, „nieśmiertelni" odrzucili ją bez namysłu.

Sam pisarz nie od razu należycie sobie uświadomił znaczenie własnej pracy. Zręby „Komedii ludzkiej" rysowały się stopniowo, w miarę pisania. Powieści wypuszczane zrazu dla zarobku i zdobycia czytelników, stały się stopniowo rapsodami olbrzymiej epopei, ukazującej całe społeczeństwo, jego przeobrażenia i rozwój. „Komedia ludzka", cykl wielopowieściowy a zarazem próba odnalezienia i plastycznego ukazania praw socjologicznych, rządzących Francją nowoczesną, przypomina potrosze ów „Palais des Papes" (Pałac Antypapieży) w Awinionie, gdzie pierwsze piętro ma 7 metrów wysokości, drugie 11, a trzecie blisko 20.

Ogromne, choć stopniowo się rysujące perspektywy balzakowskiej twórczości narzucały — rzecz prosta — konieczność posiadania warsztatu na dużą skalę.

Pomysły, figury, środki techniczne, eksperymenty, obserwacje, wnioski, sytuacje — kotłowały się w wyobraźni pisarza, wymagały porządkowania i rejestracji. Pamięć Balzaka, choć wspaniała i wyćwiczona codziennym wysiłkiem, nie mogła pomieścić ogromu tych materiałów. Nic dziwnego, że od czasu do czasu twórca „Komedii ludzkiej" rzucał na papier szkic lub obrazek, który mógł stać się użytecznym na jakimś dalszym etapie pracy konstrukcyjnej. Konieczności zarobkowe, ustawiczna pogoń za zdobywaniem środków na spłatę czyhających wierzycieli, zmuszała pisarza do publikowania owych drobiazgów.

Tak powstały nowele Balzaka, które jednak nie były nigdy opowiadaniami w rodzaju krótkich utworów Maupassanta czy Czechowa, Sienkiewicza czy Prusa. Pisarze ci pokazują autonomiczny wycinek życia, skupiony w ramach zwartego utworu. Nowele Balzaka mają również swe samoistne życie; ale jakże intensyfikuje się ono, o ile staje się bardziej pouczające i ważkie, gdy odszukamy tu ukryte odnośniki do całej twórczości Balzaka, i do wyrażających się w niej praw społecznych!

Przykładem klasycznym takiej właśnie noweli jest „L'illustre Gaudissart", który stanowi środkowe przęsło zbioru, wznowionego właśnie przez „Książkę i Wiedzę". Gaudissart, to idealny komiwojażer, niezmiernie utalentowany, sprytny, szybko się orientujący; komiwojażer, który potrafi przełamać tradycyjną nieufność i oszczędność prowincjonalnego francuskiego małomieszczanina czy chłopa. Zadanie nie łatwe, wymagające niebywałej znajomości terenu, psychologii, a także daru wymowy, pozyskiwania sobie sympatii, i — blagi.

Postać takiego komiwojażera umieszcza Balzak na tle zabawnej i zajmującej akcji nowelistycznej, zakończonej zaskakującą pointą: porażką Gaudissarta w miasteczku, gdzie trafił na jeszcze sprytniejszych od siebie. Lecz cała ta zabawna i interesująca historyjka nabiera głębszego sensu dopiero wtedy, gdy dostrzeżemy tu zjawiska unowocześnienia wymiany gospodarczej, związanej znów ze sprawą konkurencji w społeczeństwie kapitalistycznym, dojrzewanie nowych klas itd. A to znów znajduje komentarz w pozostałej twórczości Balzaka, jak np. „Ojciec Goriot", „Eugenia Grandet" itd. Z drugiej znów strony zjawisko komiwojażerów łączy się ze stosunkiem Paryża do prowincji francuskiej, która to sprawa tak ogromną odgrywa rolę niemal w każdej powieści z cyklu „Komedii ludzkiej", a przede wszystkim we wznowionej niedawno „Muzie z zaścianka". Bo jak znakomicie określa Boy w przedmowie do „Króla cyganerii": „Nic nie uchodzi wzroku Balzaka i nic nie wydaje mu się rzeczą do pogardzenia. *Życie składa się dlań z wielkich namiętności, które poruszają się w świecie drobnych wydarzeń*".

Dwie inne nowele tego zbioru są już mniej interesujące. „Król cyganerii" to nieco efekciarska historia miłosna, której bohater jest dla nas za mało zajmujący, by mógł dłużej zatrzymać uwagę. Okrucieństwo, z jakim traktuje zakochaną w sobie kobietę i bezgraniczność przywiązania pięknej eks-tancerki, mają w sobie coś z banału. Zapach snobizmu jest tu przy tym zbyt wyraźny.

Ostatnia z cyklu trzech nowel, „Bezwiedni aktorzy", to próba pokazania ówczesnego Paryża w świetle różnych ekscentryczności, snobizmów, intryg, machinacji i plotek. Boy nazywa to opowiadanie „rodzajem rewii, w którą Balzak powszywał te i owe fragmenty, pomieszczone już oddzielnie w czasopismach". Dodajmy, że rewią są „Bezwiedni aktorzy" także i dlatego, iż konstrukcja jest dość luźna, a nawet sztuczna. Jak w rewii teatralnej czy w szopce wprowadza tu pisarz pewne figury na scenę pod byle pretekstem, nie troszcząc się o zadzierzgnięcie węzła akcji, tak mocnego w innych jego utworach. „Czuć tu pośpiech i niedbałość" mówi Boy. Czuć także, dodajmy, chęć olśnienia czytelnika cudami i kulisami świata paryskiego — lecz fajerwerk tym razem niezbyt się udaje. Balzak — technik niepotrzebnie usuwa w cień znawcę ludzkich powikłań.

Wojciech Natanson

Kronika kulturalna

GRAFIKA JÓZEFA HOLLAKA

Jednym z wielu pionierów sztuki plastycznej na prowincji był zmarły niedawno w Częstochowie artysta malarz Józef Hollak. Studia jego w wyższej szkole malarskiej im. Strogonowa w Moskwie, uwieńczone przed pierwszą wojną europejską złotym medalem za pracę dyplomową, następnie dwuletnia praca dekoratorska w teatrze Stanisławskiego dały mu przy wrodzonym talencie i temperamencie artystycznym doskonałą znajomość rzemiosła i rozmach twórczy. Zdobyte w Moskwie doświadczenie wykorzystał najpierw jako jeden z założycieli Robotniczego Teatru Stanisławy Wysockiej w Kijowie, a później w ciągu dwudziestoparoletniego pobytu w Warszawie, gdzie zyskał sobie imię niepospolitego grafika i dekoratora.

Plakaty, reklamy, ilustracje, okładki, projekty dekoracji i kostiumów teatralnych, wnętrze stoisk na Pe-Wu-Ce i innych wystawach krajowych — to dziedzina, w której ujawniał wysoką kulturę artystyczną, jednocześnie nie zaniedbując sztuki czystej. Jego dziesięć miniatur przedstawiających starą Warszawę zakupił przed wojną magistrat stolicy. Wydał też Hollak kilka tek graficznych, poświęconych zabytkom architektury starego Kijowa, starego Wilna i Warszawy.

Po wojnie, w Częstochowie, robi dekoracje do teatrzyku marionetek „Chochlik", urządza wnętrza kawiarni, pawilony i stoiska na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu i na wystawach przemysłowo-rolniczych w Częstochowie, projektuje sztandary organizacji i cechów, wykonuje ilustracje książek i broszur, miniatury i portrety.

Ostatnie jego dzieło to teka linorytów barwnych na temat „Praca i człowiek". Dwadzieścia trzy plansze ilustrują pracę ludzką w przemyśle, na roli i w sztuce. Artysta potraktował ten temat w sposób plakatowy, posługując się chętnie mocnymi efektami kolorystycznymi, dzięki którym, zwłaszcza w scenach huty, odlewni, przy spawaniu metali, osiągnął wyrazistość.

Stefania Podhorska-Okołów

WYSTAWA INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH

Muzeum Wielkopolskie w Poznaniu otwarło wielką „Wystawę instrumentów muzycznych". Wystawa będąca pierwszą tego rodzaju imprezą w Polsce, obejmuje ciekawy i bogaty zespół instrumentów od XVI wieku począwszy aż po lata dzisiejsze. Szczególnie cennymi eksponatami są dawne instrumenty polskich lutników XVII, XVIII i XIX wieku jak Groblicza, Dankwarta, Kwiatkowskiego, Pasamońskiego i innych. Interesujący jest również dział instrumentów ludowych z grupą wielkopolskich kozłów i mazanek oraz barwny i bogaty zespół instrumentów egzotycznych z całego świata. Dla uczczenia rocznicy Chopinowskiej w ramach wystawy Muzeum Wielkopolskie otwiera dział poświęcony pamięci Fryderyka Chopina.

POLSKIE ZESPOŁY LUDOWE PIEŚNI I TAŃCA

W tych dniach wróciła do Polski ekipa naszych zespołów ludowych bawiąca na gościnnych występach w Moskwie. Pełne temperamentu polskie tańce wykonane przez zespoły górali i rzeszowiaków z przyśpiewkami często nie pozbawionymi dowcipu i wdzięku, kapele ludowe zespołów z Szamotuł i Zbąszynia, złożone z muzyków wiejskich grających na dudach, cymbałach, skrzypcach, klarnetach i basetli zwanej „Maryną" — stały się bliskie i zrozumiałe dla widzów i słuchaczy.

Polskie tańce i instrumenty ludowe były przedmiotem studiów artystów radzieckich.

Bogactwo folkloru polskiego oraz szczerość i prostota artystyczna naszych zespołów ludowych zyskały sobie wielką sympatię mieszkańców Moskwy.

NOWY TEATR W WARSZAWIE

W sali dawnego teatru Klasycznego została otwarta nowa placówka: Państwowy Teatr Współczesny. Zespół składa się z artystów łódzkiego teatru Kameralnego, teatru Klasycznego i innych. Wybitni nasi reżyserzy i scenografowie zaangażowani do nowego teatru będą wystawiać przede wszystkim sztuki autorów współczesnych ze szczególnym względnieniem nowych utworów dramaturgów polskich.

KONGRES PEN-CLUBU W WENECJI

Delegacja PEN-Clubu Polskiego: Jan Parandowski, Jarosław Iwaszkiewicz, Tadeusz Breza, Leon Kruczkowski, Michał Rusinek, Aleksander Wat i Adam Ważyk — udała się na XXI Kongres PEN-Clubu w Wenecji, w którym wezmą udział delegacje 50 państw.

POLONICA CZECHOSŁOWACKIE

Nakładem praskiego Towarzystwa Wydawniczego „Prace" w serii „Profile" ukazała się praca Karola Kreiczi'ego o Juliuszu Słowackim. Towarzystwo Wydawnicze „Svoboda" w Pradze wydało w przekładzie czeskim „Trybunę Ludów" Adama Mickiewicza.

POLSKA MYŚL DEMOKRATYCZNA W POEZJI

Biblioteka Polonistyczna wydała pracę Stefana Kawyna „Polska myśl demokratyczna w poezji". Jest to antologia poezji polskiej od roku 1831 do 1863. Antologia ta obrazuje twórczość poetycką 18 autorów, uzupełnioną ich sylwetkami biograficznymi. Tytuły 5 rozdziałów, na które książka jest podzielona, mówią o jej charakterze: „Poeta w walce o wolność i sprawiedliwość", „Z burzą rewolucji", „Ciosy w szlachetczyznę", „Chłopi" i „Pod urokiem gęśli słowiańskiej".

NAGRODA PEN-CLUBU

Zarząd PEN-Clubu Polskiego przyznał tegoroczną nagrodę (100 tysięcy złotych) prof. Stefanowi Srebrnemu, za najlepsze przekłady z literatury obcej. Jury odznaczyło Stefana Srebrnego za całokształt pracy przekładowej z zakresu literatury antycznej — ze szczególnym uwzględnieniem przekładu „Orestei" Ajschylosa.

„ESTRADA KONCERTOWA"

Ministerstwo Kultury i Sztuki zorganizowało reprezentacyjny zespół objazdowy pod nazwą „Estrada koncertowa". Na program tego zespołu składają się tańce polskie ludowe i charakterystyczne, świetnie wykonane przez balet (brawo, cały zespół baletowy), ciekawe stare polskie pieśni, arie operowe i utwory fortepianowe. Stylizowane kostiumy ludowe projektował Władysław Daszewski i inni.

MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA PLAKATÓW

W końcu września zostanie otwarta w Nowym Jorku Międzynarodowa Wystawa Plakatów, w której weźmie udział również Polska.

Biuro Współpracy Kulturalnej z zagranicą, które zajmuje się zorganizowaniem działu polskiego, wysyła na wystawę 69 plakatów czołowych naszych grafików, jak: Gronowski, Karolak, Lipiński, Tomaszewski, Trepkowski, Staniszkis i inni.

igs

Fale odsłoniły ślady dawnej osady

Byłem nad morzem w Jarosławcu, położonym pomiędzy Ustką a Darłowem. W pierwszych dniach sierpnia szalał silny sztorm, który odsłonił ślady dawnego nadmorskiego osiedla. Brzeg morski w Jarosławcu jest chroniony przez zespół falochronów. Na zachód od tego zespołu znajduje się dalszy zespół falochronów w odległości około półtora kilometra. W przerwie tej natrafiłem po sztormie na ślady, które moim zdaniem są wyraźnie śladami osady nadmorskiej.

Sztorm zmienia ukształtowanie brzegu morza. Na plaży, gdzie poprzednio brzeg był płaski, sztorm naniósł zwały piasku, gdzie indziej sztorm zabrał piasek i przeniósł go w inne miejsce.

Idąc brzegiem morza, natrafiłem w pobliżu następnego (zachodniego) zespołu falochronów na pokłady torfu położone poniżej obecnego poziomu morza, bądź też na wyrzucone przez fale bryły torfu. Bliżej Jarosławca sztorm odsłonił duży pas pokładu torfowego i powycinane w nim wnęki, które tworzyły podłogę izb mieszkalnych. Wielkość tych kasetonów nie jest jednakowa. Są większe i mniejsze, szersze i węższe. Wszystkie tworzą prostokąty o wymiarach: długość — 5 do 7 metrów, szerokość 4 do 5 m. Ściany fundamentów biegną równolegle do brzegu, albo są prostopadłe do kierunku brzegu. Fundamenty wskazują na to, że izby przylegały do siebie, tworząc cztery szeregi. Takich fundamentów zupełnie wyraźnych naliczyłem około 30.

Ciągną się one na przestrzeni około 100 do 150 metrów. Dalej występuje pas torfu, gdzie tych śladów już nie ma.

Kiedy po raz pierwszy natrafiłem na te ślady, odniosłem wrażenie, że musi to być dzieło rąk ludzkich. Przy bliższym obejrzeniu spotkałem kołek dębowy ociosany, wbity w fundament. Szerokość fundamentu wynosi około 60 — 70 cm. Grubość warstwy torfu wynosi też mniej więcej tyle. Spotkałem kilka bierwion, leżących na fundamentach wzdłuż brzegu (równolegle do brzegu). Bierwiona te były zbutwiałe i łatwo można je było scyzorykiem krajać tak, jak zresztą i sam torf. Spotkałem też dalsze ślady łat drewnianych dębowych o przekroju prostokątnym, o wielkości około 4 — 6 m, wbitych pionowo w ścianę torfową. Kasetony tworzące fundamenty są wodoszczelne i w niektórych po sztormie poziom wody był niższy niż w morzu.

Poziom brzegu, na którym obecnie rośnie las jest znacznie wyższy. Las urósł na wydmie piaszczystej. Można by przypuścić, że osada była zbudowana kiedyś tuż za chroniącym wałem wydmy piaszczystej, którą wiatry i fale morza przeniosły w głąb lądu. Z poziomu warstwy torfiastej można by wnioskować o zmianach, jakie nastąpiły w obsuwaniu się poziomu ziemi.

Osada nadmorska położona w Jarosławcu była prawdopodobnie używana tylko w okresie letnim, wiosennym i jesiennym.

Śladów przedmiotów kultury materialnej (czerepki itp.) nie widziałem. Wnętrza tych fundamentów izb są zasypane kamieniami, żwirem, piaskiem. Gdyby nawet tam kiedykolwiek takie resztki istniały, to prawdopodobnie kamienie i fale morskie zmełłyby je, zeszlifowały na pył.

Być może, pod głębszą warstwą kamieni i piasku dałoby się jeszcze jakieś ślady rąk ludzkich w tych wnękach odszukać. Ślady te odsłonięte przez jeden sztorm mogą być przez następne sztormy ponownie zasypane.

Słyszałem, że w czasie zimy morze zabrało w stronę Ustki pas lądu szerokości 300 metrów.

Nie sądzę, aby to były ślady po kopaniu torfu. Mało prawdopodobne też jest, że były to baseny używane przez rybaków do przechowywania ryb.

W każdym bądź razie jest to bardzo interesujące odkrycie.

Nie robiłem pomiarów i szkiców. Oglądałem całość z wysokości wydmy piaszczystej. Często tam przelatują samoloty patrolujące brzeg. Sądzę, że nie sprawiłoby trudności wykonanie kilku zdjęć fotograficznych z wysokości kilkuset metrów. Zdjęcia takie dałyby wyraźny obraz dawnego osiedla.

Dla informacji dodaję: dojazd do Sławna koleją, potem 28 kilometrów autobusem, który niestety w niedziele i święta nie kursuje.

Nadmorskie osiedle w Jarosławcu czeka na archeologów i dziennikarzy.

R. Krzywiec

ZYGMUNT FIJAS

Historyjka dydaktyczna

Chirurg Bartłomiej Wyraźny znany był z doskonałych osiągnięć w zakresie chirurgii plastycznej, plastyk Henryk Niewyraźny znany był z fajeczki o podwójnym, okutym mosiądzem cybuszku, skórzanej kanadyjki i rękawiczek tej wielkości, jaka obowiązuje przy grze w rugby. Chirurg był przedstawicielem na kraj najnowszych sposobów medycznych, malarz był reprezentantem sposobów Chirica, Braque'a, Légera, Kleego, Ozenfanta, Hansa Arpa, Vantonogerloo i zdaje się także Diega Ixtlacihuatlpopocatepetla.

Pewnego dnia byłe pacjentki chirurga postanowiły uczcić jego kunszt. Aby zaś uczcić to, co było ostatnim krzykiem kosmetyki chirurgicznej, zamówiły u Niewyraźnego to, co było ostatnim krzykiem kosmetyki plastycznej: portret znakomitego uczonego. W tym celu wręczyły malarzowi zadatek i trzy fotografie: trois quarts, z profilu i en face.

Podobizna została wykonana, płochy tłum obrzucił ją na akademii zgniłymi jajami.

Ośmieszony chirurg udał się do malarza z wymówkami. Oto stenogram dyskusji, jaka się między nimi wywiązała:

Chirurg: I co pan ze mnie zrobił? Wystawił mnie pan na pośmiewisko. Sądziłem, że jest to akt zemsty ze strony pewnej pacjentki, której przeszczepiłem brwi z kawałków łysiny, tymczasem to sprawka pańska...

Malarz: Najwybitniejsze dzieła były zazwyczaj obrzucane zgniłymi jajami. Żyje pan przyzwyczajeniami Matejki i Siemiradzkiego. Portret jest wynikiem swobodnej gry mojej wyobraźni. Czego pan jeszcze chce? — aby podobizna była pańskim życiorysem, opisem pańskich cnót chirurgicznych, — plakatem? Nie jestem publicystą!...

Chirurg: Ale dlaczego nos na tym portrecie podobny jest do rozdeptanego trzewika, zaś rozdeptany trzewik na mojej prawej ręce został wkomponowany w struny gitary? To dziwactwo! Dalej: dlaczego policzki moje są na tym obrazie zielone, skoro wiadomo, że ludzie krwistego temperamentu mają policzki rumiane?

Malarz: Za jedną dziesiątą ceny, jaką zobowiązały się uiścić pacjentki, mógłby pan zamówić sobie fotografię, odpowiadającą pańskim ambicjom. Każda pora pańskiej skóry miałaby rozmiary monumentalne: mógłby pan w nią wetknąć palec. Czemu nie domaga się pan, by dywan był fotografią kwiaciarni?

Chirurg: A skąd ta kielnia w rogu obrazu? Nigdy nie byłem wolnomularzem.

Malarz: Jest to jęczmień na pańskim oku.

Chirurg: Nigdy nie miałem jęczmienia i nawet nie operowałem go. Ta podobizna jest kalumnią. Zaskarżę pana o zniesławienie.

Malarz: Czy mam dodać do tego komentarz? Trzeba by go uzupełnić historią całej sztuki. Nigdy, tego może być pan pewien, nie da się przerobić Mony Lizy na cegły. Mógłbym się golić siekierą, ale po co wynajdywano żyletki? Istnieje muzyka jazzowa, istnieje malarstwo jazzowe. Proszę przyjąć moje cytrynowe uściski. (Obrażony malarz dobył z zanadrza nóż i, zamiast się przebić, pokrajał obraz na części formatu ósemek).

W kilka dni później malarz wpada pod ciągnik. Ciało nieszczęśliwego wnoszą na salę operacyjną w stanie trudnym do rozszyfrowania. A jednak chirurg poznaje malarza. Ułatwia mu to rękawiczka.

Słuchacze asystujący przy operacji mają możność posłyszenia tych słów znakomitego chirurga: „Panowie! Od czasów pierwszej operacji naukowej, dokonanej w starożytności na kozie, świat nie widział tego, co za chwilę ujrzy. Istnieje muzyka jazzowa, istnieje malarstwo jazzowe. Ale istnieje też chirurgia jazzowa. Z pacjenta zrobimy jazzband członków".

Oto jak po operacji, dokonanej przez znakomitego chirurga, wyglądał malarz Niewyraźny.

Malarz Henryk Niewyraźny: patrzył szyją i jego głos nabierał blaszanego rezonansu aż gdzieś w okolicy nerek, przyjmował pokarmy przedramieniem, kaszlał plecami, śmiał się kolanem; gdy starał się iść w przód, to szedł w tył — i to zawsze w kierunku jakiejś nieprzewidzianej przeszkody, czasem, gdy mu się jakaś rurka rozsądku otwarła, ruszał ustami i zdawało mu się, że mówi, a on milczał — gdy zaś zdawało mu się, że milczy, to wtedy mówił. Po prostu potwór!

Czy myślicie, że człowiek taki mógł żyć?

Otóż nie mógł i — nie żył. Jest wytworem wyobraźni. Autor pragnie wszystkich malarzy przestraszyć.

Malarz Henryk Niewyraźny był co prawda przedstawicielem wspomnianych artystów — nawet się od nich niejednego nauczył — ale kiedy otrzymał zamówienie na portret, (przerażony po przeczytaniu tego felietonu, niebezpieczeństwem, które go czeka — przyp. red.) wykonał go, „jak się patrzy": portretowany miał wszystko na swoim miejscu.

Natchniony portretem chirurg wykonał plan w trzystu procentach. Ani jeden pacjent nie umarł. Obecnie uczniowie znakomitego chirurga, zachęceni przykładem, wycinają pacjentom wyrostki robaczkowe, nie wyjmując z ust papierosa.

Ostatnio Niewyraźny wykonał dwie wspaniałe podobizny przodowników pracy. Robotnicy ci, pobudzeni do czynów, pobili wszystkie swe rekordy: przerobili natchnienie malarza na kilka nowych osiedli. Jeden z nich w zapale niemal nie wykonał o jedną ścianę więcej ponad plan.

Zygmunt Fijas

IRENA KRZYWICKA

RODZINA MARTENÓW
(»Skuci i wolni« t. I)

Powieść

Wyd. 2

str 189
zł 360

Taśma „z deszczem"

Potępione bo postępowe

Różnymi drogami chadza ocena filmowa. Postęp, jaki w krytyce filmowej dokonał się na łamach prasy polskiej, każe nam już dzisiaj patrzeć z pewnym niedowierzaniem na nieprawdopodobne „widzimisię" zachodnich przedsiębiorców filmowych i cenzury znajdującej się całkowicie w ich rękach.

Cenzura francuska zakazuje np. wyświetlania filmu, jeżeli spodziewa się, że film NIE BĘDZIE KASOWY. Co kryje się za tym dziwnym określeniem? Otóż k a s o w e są z reguły tylko filmy amerykańskie... Cenzura trwa w tym przeświadczeniu od lat trzydziestu, mimo, że frekwencja na filmach amerykańskich spadła o 35%, a podwyższyła się prawie o 40% na filmach francuskich.

Istnieją jednak wyjątki nawet dla filmów amerykańskich. Nawet te mogą być „potępione", jeśli choćby w najmniejszej mierze odbiegają od szablonu, jeśli pokazują życie amerykańskiego robotnika, jeśli ich autorem jest Francuz.

Jean Renoir robił w Ameryce podczas wojny wyjątkowo słabe filmy. Jeden jednak poziomem, tematyką i ujęciem różnił się znacznie od szablonu. Był to „Południowiec" — trochę zbyt idylliczna, ale chwilami mocna i przekonywająca historia amerykańskiego bezrobotnego. Renoir pokazał tam Amerykę bez szminki. Francuska cenzura nie dopuściła filmu na ekrany...

Robert Montgomery „popisał" się odstraszającym filmem kryminalnym „Pani jeziora". Film ten francuska publiczność m u s i a ł a oglądać. Jednak prywatnie, na wąskiej taśmie, tenże Montgomery, nie kontrolowany przez swoich kapitalistycznych „protektorów", zrealizował film „Jedźmy na drewnianych koniach" według scenariusza Ben Hechta. Zamiast nieumiejętnej zabawy w „subiektywizm" („Pani jeziora" filmowana była z aparatu zajmującego miejsce oczu bohatera) mamy w tym filmie ciekawe nowatorstwo filmowe oparte na solidnym scenariuszu.

Niemniej ciekawy jest ZAKAZANY we Francji film antyfaszystowski „Nieznany adres" Rudolfa Mate i W. C. Menziesa. Film ma co prawda naleciałości ekspresjonistyczne, ale w każdym razie jest bez porównania ciekawszy od wszystkich „Gild" razem wziętych.

Publiczność francuska ujrzała też nareszcie „L'Atalante", słynny, niedokończony film Jeana Vigo, przed piętnastu laty „potępiony" przez cenzurę jako n i e k a s o w y i wyświetlany tylko okazyjnie — przeważnie w kino-klubach.

Skąd mamy wiadomości o tych filmach i gdzie odbyły się ich pokazy? Grupa wybitnych literatów, publicystów i filmowców (przeważnie francuskich) postanowiła zorganizować w Biarritz kontrdemonstrację przeciwko takim „festiwalom" kupieckim jak Knokke le Zoute, Wenecja czy Cannes.

W Biarritz zgromadzono niemal wszystkie filmy zakazane przez francuską cenzurę oraz te, które były przyjęte przez cenzurę z dużymi zastrzeżeniami, bo „i tak nikt nie będzie chciał ich zobaczyć". Do takich filmów należą (niestety, to fakt!): „Bitwa o szyny", „Ostatnia szansa" i „Podróż w nieznane", dalej nie wyświetlane w Polsce „Blaski lata" Grémillona, „Damy z Lasku Bulońskiego" Bessona i „Samotne serce" Oddetsa.

Wszystkie te filmy zapewne właśnie dzięki bogactwu treści i częściowemu chociażby zajęciu się zagadnieniami życiowymi, odniosły triumfalne sukcesy kasowe.

Francuska publiczność kinowa gwałtem i wbrew swojej woli wychowywana na amerykańskim filmie, nie jest tak otumaniona, jak to sądzi francuska cenzura. Najlżejszy powiew postępu, zauważony w filmie, natychmiast ściąga masy, które już od dawna mają dosyć idiotycznych komedyjek, psychopatologii i girls.

Zainteresowanie to jest „niebezpieczne".

I dlatego co postępowe, to potępione.

Kontra-typ

Apel Związku Literatów Polskich

Zarząd Główny Związku Literatów Polskich, przygotowując do druku dzieło pamiątkowe „Straty literatury polskiej 1939 — 1945", obejmujące życiorysy pisarzy polskich zmarłych podczas ubiegłej wojny, zwraca się do wszystkich krewnych, przyjaciół i znajomych zmarłych pisarzy z prośbą o nadsyłanie wszelkiego rodzaju informacji, dokumentów itp. materiałów dotyczących życia i twórczości tych pisarzy, ze szczególnym uwzględnieniem lat wojennych.

Wszelkie informacje należy przesyłać pod adresem Zarządu Głównego ZLP (Warszawa, Al. Stalina 35), na ręce J. W. Gomulickiego.

KRONIKA TEATRALNA

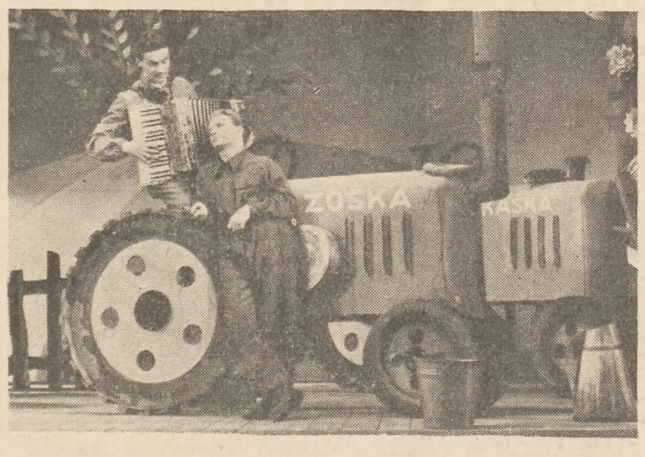

„Traktor i dziewczyna" w Starym Teatrze w Krakowie. Na zdjęciu K. Meres i M. Cebulski

„Zemsta" Aleksandra Fredry w Opolu. Na zdjęciu od lewej: Eugeniusz Mielczarek, Alojzy Smolka, Wojciech Zagórski

W. L. BRUDZIŃSKI

FRASZKI

REKLAMIARZOWI

Twierdzisz, że wiersz twój przetrwa dopóty,
Dopóki ludzkość będzie trwać.
Teraz ktoś pisze do niego nuty...
...Chyba te, z których będziesz łgać!

O PEWNYM PISARZU

Za dzieł swych kunsztowną formę
Forsę bierze ponad normę.
Taki — wybaczcie — nowy
Materialista dziełowy.

WIERSZE I POEZJA

Wiersze i wiersze, rozbiła się bania nad nami.
A poezję przeczytasz czasem między wierszami.

KORESPONDENCJA

„ZABAWA W ZIELONE"

Do Redaktora „Odrodzenia"

Broszkiewicz pisze w 11 odcinku „Kształtu miłości":

„w Niemczech noszono zielone fraki i żółte kamizelki à la nieszczęśliwy Werther i w werterowskim stylu z egzemplarzem romansu w dłoni strzelano sobie w łeb"...

Otóż nie wypada w roku goethowskim zmieniać kostiumu Werthera, a to tym bardziej, że kostium ten był kostiumem samego Goethego, jego, mówiąc językiem urzędowym paszportów, znakiem szczególnym. W tym kostiumie zawarty jest façon d'être epoki burzy i naporu dwudziestosiedmioletniego poety i wszystkich upojonych tęknotą samounicestwienia.

Leonardo da Vinci w czarnym berecie i różowym płaszczu jedwabnym zachowa te kolory w pamięci ludzkiej bez względu na to, czy czytał ktoś Vasariego czy nie. Koloru jego płaszcza nikomu z szanujących się intelektualistów zmienić nie wolno, bo naruszyłby prawdę o da Vincim. Mógłbym więcej na ten temat i na poparcie mojej tezy przytoczyć przykładów, ale poprzestaję na tym jednym. Dla uproszczenia.

W „Cierpieniach młodego Werthera" czytamy w dzienniczku bohatera pod datą 6 września (takie daty w chef d'oeuvre'ach mają znaczenie dat historycznych) — „kosztowało mnie wiele trudu nim postanowiłem zrzucić mój zwykły niebieski frak, w którym pierwszy raz zatańczyłem z Lottą". A przy końcu „Cierpień" — „Leżał wyzuty z sił, na wznak, w pełnym stroju, w butach, w niebieskim fraku i żółtej kamizelce".

Sam Goethe, jak podaje Knebel, przybył po raz pierwszy do Weimaru w jesieni 1775 w „mundurze werterowskim", — niebieski frak z mosiężnymi guzami, żółta kamizelka, skórzane pludry i wysokie buty. Uzupełniały ten strój epoki XVIII wieku warkocz i puder. Książę weimarski włożył ten sam strój i kogo nie stać było u dworu na taki kostium, temu suweren na własny koszt go sprawiał. Jeden Wieland nie podlegał temu rygorowi, bo już za stary był na równie jaskrawe barwy.

A zatem niebieski frak, n i e b i e s k i, nie zielony.

Poza tym Werther nie strzelił sobie w łeb „z egzemplarzem powieści w dłoni". Według powieści, na pulpicie znajdował się egzemplarz otwarty Emilii Galotti. A wiadomo, że dotąd to dzieło Lessinga nie jest powieścią, lecz dramatem.

Z powieścią w dłoni strzelali do siebie inni denaci, ale ten szczegół nie należy do naszego tematu. To był już inny styl i omal inna epoka. Chciałbym jeszcze zaznaczyć, że wprawdzie w owych czasach nie żyło się w takim tempie przyśpieszonym, jak obecnie, jednakże młodzieńca Chopina od młodzieńczego Goethego dzieliło 50 lat; pomyśleć, że jakiś współczesny młodzian żyłby à la młody Judym i ubierał się według żurnalu z roku pańskiego 1899! Horrendum. Im dalej w głąb dziejów, tym pobłażliwiej traktuje się fazy obyczajowe, kostiumy i sposób wyrażania się. Cycero sąsiaduje z Demostenesem, bo to już bardzo dawno, jak mutatis mutandis Fryderyk z młodziutkim Johannem Wolfgangiem.

Mieczysław R. Frenkel

GRAFIKA

JUBILEUSZ MASEREELA

Mało jest grafików tak popularnych jak Frans Masereel. Toteż w sześćdziesiątą rocznicę jego urodzin ukazało się za granicą sporo artykułów i wzmianek. Hermann Hesse i Tomasz Mann poświęcili mu słowa wysokiego uznania. Reprodukowane ryciny przypomniały raz jeszcze plastyczne oblicze artysty.

W ciągu kilkudziesięciu lat Masereel wyciął tysiące drzeworytów, stworzył swój własny styl ksylograficzny, stworzył odrębny rodzaj ryciny. Praca Masereela jest dowodem, że nie cały strumień twórczości artystycznej dwudziestego stulecia płynął korytem estetyzmu: Masereel jest artystą walczącym nie

o koncepcję plastyczną, lecz o ideały społeczne i moralne. Grafika jego przywodzi na myśl polityczne ryciny ulotne z okresu walk religijnych w Niemczech XVI i XVII wieku, przypomina drapieżne oskarżenia rodzaju ludzkiego, jakie Goya zamknął w „Kaprysach" i „Okropnościach wojny", kieruje spojrzenie ku satyrycznej krytyce stosunków społecznych, jaką uprawiali francuscy graficy wieku XIX z Honoré Daumierem na czele.

Masereel jak Goya i jak Daumier posiada indywidualną plastyczną i filozoficzną wizję świata. Nie podobna oczywiście porównywać wagi koncepcji artystycznych tych twórców; wszelako obraz cywilizacji w „wieku maszyny", który wyłania się z twórczości Masereela, posiada, jak się zdaje, wielką doniosłość i prawdę. Są one tym wyrazistsze, iż głoszone w języku symbolów.

Drzeworyty belgijskiego artysty budowane są prostym przeciwstawieniem czerni i bieli, przy bardzo rzadko stosowanej skali szarości, cięte są dłutkami o grubości mało zróżnicowanej. Wydaje się, iż powstanie swe zawdzięczają użyciu jednego narzędzia. Zadziwiająca jest czasem umiejętność drzeworytnika, który potrafi pokazać tak wiele, ograniczając się do zupełnie wąskiej skali środków. Jest to skala czarno-biała, kontrastowa. Wystarcza artyście, gdyż równie kontrastowa jest treść jego grafiki. Liczne opowieści bez słów, które Masereel tworzył w trzecim i czwartym dziesięcioleciu XX wieku, przedstawiają zazwyczaj konflikt jednostki z grupą, starcie subiektywnego świata idei i wyobrażeń z szorstką rzeczywistością cywilizacji maszynowej, dramat humanisty zagubionego w odhumanizowanej kulturze współczesnego miasta. Symboliczne opowiastki Masereela malują szlachetną, choć nie wolną od pospolitych upadków postać bohatera, miażdżoną przez tryby ustroju, przez bezmyślne, przypadkowe funkcjonowanie gigantycznego miasta-potwora, są oskarżeniem świata bez ideału, świata głupich i podłych mieszczańskich filistrów, świata wyzysku kapitalistycznego, nędzy proletariackiej, świata, dzielącego ludzi sztucznymi granicami, świata prostytutek, podłości, wojny i oszustwa. Masereel lubi pokazywać życie w przekroju przestrzennym, w jednym momencie. Otwiera ścianę domu, rozpruwa miasto i ukazuje równocześnie szczęście i rozpacz, tragedie codzienne i obojętność obserwatorów. Jego filozofia miewa czasami wydźwięk nieledwie ewangeliczny.

W początkach swej kariery artystycznej Masereel ilustrował dramat Romain Rollanda „Liluli" (L'illusion). Dalsze dzieła grafika ukazują również pogoń człowieka za iluzją szczęścia (np. „Słońce"). Sztuka Masereela ma charakter symboliczny. Sprowadzona do krańcowej prostoty faktura (o niewątpliwym rodowodzie ekspresjonistycznym) służy do budowy obrazów syntetycznych i twardych. Drobne „dramatis personae", podobne do marionetek, wyciosane są prosto, i zaledwie — choć trafnie — scharakteryzowane. Ryciny mają jednak tym silniejszą wymowę. Jak w filmie z następstwa obrazów wyrasta przed nami synteza, coraz szybciej wertujemy karty książki, śledząc dzieje bohatera zgubionego

wśród niebotycznych klatek drapaczy chmur, wśród lasu kominów, wśród tysiąca okien, w świecie wrogim mu, wirującym dokoła kilku niezmiennych osi: śmierci, płci, pieniądza. Jak w „Procesie" Kafki bohater otrzymuje tu niezawiniony wyrok skazujący. Tylko słoneczna idea, za którą goni, jest przed nim niezmiennie.

Kontynuacja tego stylu Masereela stępia jednak jego ostrze. Dziesiąty, setny i tysiączny drzeworyt o podobnej treści plastycznej i ideowej robi już wrażenie coraz słabsze. Krytyczny, negatywny nurt twórczości Masereel pragnie, jak się zdaje, wzmocnić akcentem pozytywnym, ukazując uciekającą dawniej iluzję szczęścia w bardziej realnych, skrystalizowanych formach. Ostatnia seria drzeworytów nazywa się symbolicznie: „Od czerni do bieli". Niemniej, w miarę upływu czasu sztuka Masereela traci swą młodzieńczą ostrość, pojawiają się tematy o charakterze spokojnym i dekoracyjnym (np. „Dzień i Noc" wystawiane w Muzeum Narodowym w Warszawie w 1948), dalekie od agitacyjnej zapalczywości dzieł wcześniejszych. — Masereel osiadł po wojnie w opuszczonym zamku południowo-zachodniej Francji. Antywojenne utwory grafika z okresu 1939 — 1945 nie mają już dawnej oryginalności, są niekiedy wręcz banalne.

Gdy ogarnąć jednak spojrzeniem całokształt pracy Masereela, trzeba przyznać, że działalność tego niestrudzonego artysty jest doniosłym udziałem w walce ludzi uczciwych o świat wolny od wyzysku i wojny. Wyznanie Masereela zawarte w przedmowie do najnowszej serii rycin („Od czerni do bieli") może i powinno być wyznaniem każdego twórcy: „Zawsze sądziłem, iż artysta winien być także człowiekiem, a fakt, iż posługuje się on pendzlem czy ołówkiem, wcale nie musi oddalać go od społeczeństwa, nie musi zamykać mu oczu na sprawy ludzkie i społeczne".

Jan Białostocki

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 2000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek, i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16**, Dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne**. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 2000 zł.**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę złotych 2.000 w ubiegłym tygodniu otrzymał ob. Jerzy Borejsza, Warszawa, Aleja Róż 6, zawycinek z tygodnika „Szpilki", nr 38. Sumę tę złożył ob. Borejsza na fundusz walki z analfabetyzmem.

BOJOWNIK POKOJU

Nieprawdą jest, że jak się chce kogoś uderzyć, to kij się znajdzie. Anonimowy „bojownik pokoju" w „Szpilkach" wykazał tyleż pieniactwa co analfabetyzmu politycznego, skłaniając Teofila do zamieszczenia niniejszej notatki:

Drogi Teofilu! Walczyłem i cierpiałem w czasie wojny. Wiem, co to jest wojna. Ale powiedz mi, co znaczą na pierwszej stronie „Odrodzenia" trzy obrazki, przedstawiające obóz koncentracyjny, rozstrzeliwanie i jeszcze jedną jakąś okropność wojenną. A gdzie walka o pokój? Czyż postawa nasza ogranicza się do jakiegoś mdłego, wątłego pacyfizmu, podlegającego zmieceniu przez pierwszą burzę? Jestem oburzony! Ohyda wojny — tak. Ale obok tego chcemy oglądać obraz sił, które do niej nie dopuszczą. Te siły są! My nimi jesteśmy! Dość cierpiętnictwa!

Bojownik Pokoju

Drogi Teofilu, gdybyś w mateczniku siedział nigdyby się świat nie dowiedział, że tezy zawarte w przemówieniu świetnego pisarza Leonowa oraz wiersz Władysława Broniewskiego o walce żołnierskiej Waltera Świerczewskiego za sprawę pokoju, zamieszczone na czołowej kolumnie „Odrodzenia" razem ze zdjęciami, ilustrującymi grozę wojny — sprowadzają naszą postawę do „jakiegoś mdłego, wątłego pacyfizmu, podlegającego zmieceniu przez pierwszą burzę".

Anonimowy Bojowniku Pokoju z redakcji „Szpilek"! Wołasz: „jestem oburzony!" Ale czy godzi się oburzenie, mające źródło w urazach osobistych manifestować pod czerwonym sztandarem?

DLACZEGO?

Dociekanie przyczyn jest odwieczną pasją człowieka. Chcielibyśmy wiedzieć — dlaczego? — Naprzód, jako dwuletnie dzieci, zamęczamy tym pytaniem starszych, potem szukamy odpowiedzi w książkach, wreszcie, nie uzyskawszy odpowiedzi ani od starszych, ani od mądrych przyjaciół, ani w książkach, ani w samotnych rozmyślaniach, stawiamy nasze pytanie publicznie, np. w rubryce „Camera obscura". Może znajdzie się czytelnik, który odpowie na dręczące nas pytanie, dlaczego redakcja miesięcznika ZMP: „W naszej świetlicy", zamieściła wiersz Majakowskiego „Black and white" w nowym tłumaczeniu, mając pod ręką tłumaczenie Franciszka Pareckiego? Na pewno dlatego — odpowiecie — że tłumaczenie Pareckiego zaginęło... — Nie zaginęło. Znajdziecie je w „Wierszach Wybranych" Majakowskiego, „Książka i Wiedza", opracował i wstępem zaopatrzył Adam Ważyk... — To może dlatego — nasuwa się nowa odpowiedź — że wyżej wspomniana książka ukazała się później niż miesięcznik ZMP. — Niestety. Miesięcznik ukazał się w r. 1949, a „Wiersze wybrane" w 48. — Może głośne nazwisko nowego tłumacza zdecydowało o wyborze? — Nic podobnego. Wiersz jest w tłumaczeniu anonimowym. Tłumacz nie ujawnił się. — To nic — odpowiadacie. — Zdarza się przecież, że skromny, nikomu nieznany tłumacz lepiej przetłumaczy, niż najbardziej znany i uznany. Anonimowe tłumaczenie w miesięczniku ZMP jest widocznie wierniejsze w treści i formie. Trzeba porównać oba tłumaczenia. — Zgoda. Nie utrudniajmy startu młodym anonimom!

Tłumaczenie Pareckiego:

BLACK AND WHITE

Jeśli
Hawannę
na oko ocenić —
to raj-kraina,
kraina-radość.
Flaming na nóżce
w palmowym cieniu,
kwitnie
callario
na całą Viedado.

Tłumaczenie anonima z „W naszej świetlicy":

CZARNE I BIAŁE

Na pierwszy rzut oka snoba
Hawana — co tu gadać —
Nie kraj, lecz raj!
I bardzo może się podobać —

Pod każdą palmą
Flamingo się chwieje,
W całej Viedado
Callario wonieje.

Gorliwy anonim przetłumaczył, jak widzimy, nie tylko z rosyjskiego, ale również z angielskiego... Porównujmy jednak dalej:

Tłumaczenie... sami zresztą odgadniecie:

Dość się Willy w życiu nasłużył
Brzuch mu zapadł, wychudł i wy-
[łysiał —
Jakie stosy wymiótł Willy kurzu —
Ile się Willy przekleństw nasłu-
[chał!

Willy'emu brzuch wyłysiał... Majakowski miewał różne pomysły... Ale sprawdźmy dla pewności:

Dużo
w swym życiu
już wymiótł Willy —
samego kurzu
cały las —
dlatego też
włos Willy'emu
wylazł,
dlatego
brzuch mu do środka
wlazł.

Kilka potknięć o niczym nie świadczy. Czytajmy dalej.

U Pareckiego:

Miał mózg Willy'ego
niewiele zwojów,
niewiele plonów,
niewiele zasiewów.
Jedną
jedyną
kuł Willy myśl swoją
twardszą niż kamień
pomnika Masseo.

U anonima:

Mózg murzyna mało rozumie —
Skąpo zasiewów
I zbiorów niewiele —
Jedno, Willy na pamięć umie,
Jedno, jak pomnik Masseo w nim
[strzela.

Strzelający pomnik to jeszcze nie koniec. W zakończeniu anonim koryguje Majakowskiego pod względem politycznym:

Chwycił szczotkę z ponurem stęka-
[niem,
Wściekły jak zbite zwierzę —
Skąd miał wiedzieć, że z podob-
nym pytaniem
Gdzie indziej zwracać się należy?!..

Zamiast:

Murzyn
miał nos spuchnięty jak bania,
podniósł swą szczotkę,
policzek roztarł
Skąd wiedzieć mógł,
że takie pytania
trza adresować:
Komintern,
Moskwa!

Może znajdzie się czytelnik, który odpowie na dręczące nas pytanie, dlaczego redakcja miesięcznika ZMP: „W naszej świetlicy", zamieściła wiersz Majakowskiego „Black and white" w nowym potwornym tłumaczeniu, mając pod ręką dobre tłumaczenie Franciszka Pareckiego?

ZMUSILI...

„Przegląd Sportowy" donosi:

BUKARESZT, 11.9. (Tel. wł.). — Drugi dzień mistrzostw Rumunii był dla Polaków znacznie szczęśliwszy niż pierwszy. Dwa razy Polacy zajęli pierwsze miejsca, zmuszając tym 30 tys. widzów do dwukrotnego wysłuchania Mazurka Dąbrowskiego.

I w innym miejscu:

Organizatorzy byli tak pewni zwycięstwa siatkarzy polskich nad Holendrami, że już w połowie drugiego seta usłyszeliśmy tony hymnu polskiego. Zawodnicy nie speszyli się jednak i zamiast stanąć na baczność — grali dalej.

Bieżący tydzień był dla „Przeglądu Sportowego" znacznie szczęśliwszy niż ubiegły. Dwa razy zajął „Przegląd Sportowy" miejsce w „Camerze", zmuszając tym swoich redaktorów do dwukrotnego przeczytania własnych głupstw.

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn. 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13 Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 12, tel. 810-26
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 100 zł, kwartalna 300 zł — Konto w PKO — I. 4739 B-88502 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"